Nr. 10. Kraków, Październik 1916. Rok X.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
i ADMINISTRACYA:
Kraków,
ul. Franciszkańska L. 3.

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU X-go:

N. Marya Panna Obrończynią wiary św.

To, co opowiadają o jednej dziecinie, iż, gdy je matka uczyła pacierza i żegnając krzyżem świętym mówiła: „W Imię Ojca i Syna i Ducha św.“ ono zapytało: „a gdzież Matka, — bo jest Ojciec, jest Syn, jest Duch św.— a gdzież Matka?“ — To sprawdza się na całej ludności. Ludziom Matki trzeba było, Matki tak czułej, jak są ziemskie matki, a tak potężnej, jak Bóg jest potężny. I dał im Bóg taką Matkę. Postać Najśw. Maryi Panny jest dopełnieniem związku nieba z ziemią. A że ta postać stała się szczególnem umiłowaniem całej ludzkości, przeto ten związek niejednokrotnie na niej się oparł i utrzymał, gdy inne węzły rwać się poczęły. Historya wykazuje jawnie, iż Najśw. Marya Panna stawała wielokrotnie zwycięzko, jako obrończyni wiary św.

Proroctwo Chrystusa Pana, wyrzeczone w słowach: „I wielu fałszywych proroków powstanie i wielu zwiodą“ spełniać się poczęło zaraz po Jego wniebowstąpieniu. Już Apostołowie musieli staczać ciężkie walki z tymi, co Chrystusową naukę fałszowali. W późniejszych wiekach bywało coraz gorzej.

W wieku IV. wielkie niebezpieczeństwo zagroziło wierze świętej. Aleksandryjski kapłan Aryusz zaczął od korzeni podkopywać naukę Bożą. Zaprzeczył on Chrystusowi Panu bóstwa. A to, że Jezus Chrystus jest Bogiem i człowiekiem, jest przecież podstawą naszej wiary św. Aryusz zaś uczył, że Chrystus Pan nie jest Bogiem, jak nim jest Bóg Ojciec, ale tylko pierwszem stworzeniem Bożem. Ten fałsz począł się szybko rozszerzać i zatruwać dusze. Inny kapłan, Macedoniusz, biskup konstantynopolitański, zaprzeczać znów począł bóstwa Duchowi św. A kiedy tak na Wschodzie podkopywano naukę o Trójcy św., zasadniczej prawdzie chrześcijaństwa, na Zachodzie znowu, w Anglii niejaki Pelagiusz szerzył niewiarę w skutki grzechu pierworodnego i fałszował naukę o łasce Bożej, koniecznej do cnotliwego życia.

W parę lat zaś potem patryarcha konstantynopolitański Nestoryusz odzierać znowu począł Najśw. Maryę Pannę z godności macierzyństwa Bożego i nie dał Jej zwać „Matką Bożą“.

Zdawało się, iż w tym odmęcie zaginie wiara św. Zaledwie ustały one straszne trzechwiekowe prześladowania cesarzy rzymskich, najdroższy skarb Kościoła św. ta czysta prawda, co z ust Bożych wyszła, doznaje napaści i to od pierworodnych synów tego Kościoła, od patryarchów, biskupówizakonników. W fałszu swym uchodzili oni za mądrych, a w przewrotnej zaciekłości za najgorliwszych rzeczników sprawy Bożej. Z pomocą gwałtu ze strony rządu, tak szeroko rozlali ci heretycy jad swej niewiary, że świadek tych czasów św. Hieronim pisał: „cały świat stał się aryańskim“.

A jednak wiara św. w tym zalewie herezyi nie zginęła. Kościół św. ocalał, choć ta nawałnica groźnie nim wstrząsła. W r. 325 zebrali się wszyscy prawowierni biskupi na sobór powszechny w mieście Nicei i potępili tam błąd Aryusza, a w r. 381. na takimże soborze w Konstantynopolu zbito błędy Pelagiusza o Duchu św., a w Efezie 431. udowodniono uroczyście ku radości wszystkich wiernych prawdę o Macierzyństwie Bożem Najśw. Maryi P. i tytuł Jej „Matki Bożej“ na nowo zatwierdzono.

Sprawczynią zaś tego odrodzenia w Kościele św. naówczas była Najśw. Marya Panna. Wszyscy bowiem wielcy uczeni tych czasów, gorliwi bojownicy o świętą sprawę i obrońcy wiary katolickiej, jak św. Atanazy, Bazyli, Jan Chryzostom, Augustyn, Hieronim, św. papieże: Leon i Grzegorz W. — to szczególni czciciele Matki Bożej. Gdy heretycy przeciw tej Matce wystąpili, oni w Jej obronie stanęli, a w ciężkiej walce w modlitwie do Niej pomocy szukali, ku czemu wszystkich wiernych wzywali. Ufność w pomoc Najśw. Maryi Panny w tej walce z herezyą była wówczas tak wielka, że św. Epifaniusz, arcybiskup konstantynopolitański w jednym ze swych listów prosi paieża Hormisdasa, iżby zalecił wszystkim wiernym modlitwę do Matki Bożej, a wróci w Kościele jedność i ugruntowanie wiary św. Na wezwanie papieża modlili się wszyscy i oto wnet potem biskupi zebrani w Konstantynopolu donoszą papieżowi, że za przyczyną Matki Bożej ci, co od wiary św. odpadli, wrócili do jedności kościelnej i Chrystusowej miłości.

Z tych sekt heretyckich, co tak groźnie wówczas przeciw Kościołowi św. stanęły nie ostała się żadna i wszelki ślad po nich zaginął. Dlatego to słusznie potem jeden ze soborów umieścił w pacierzach kapłańskich wezwanie do Matki Bożej: „Ciesz się Panienko Maryo, Tyś Sama we świecie wszelkie herezye zniszczyła“.

Te słowa jednak nietylko do owych czasów się stosują. W średnich wiekach wylęgła się w mieście Albi, w południowej Francyi niebezpieczna sekta t. zw. Albigensów. Ci heretycy odrzucali całą wiarę objawioną. Nie wierzyli w Trójcę św., w Wcielenie Syna Bożego, Odkupienie, odrzucali Sakramenta św. i całą służbę Bożą. Ustanowili natomiast bardzo surowe przepisy obyczajności, choć sami bardzo nieobyczajni byli, grzęznąc w rozwiozłości i rozpuście. Przez 20 lat trapili Albigensi srogą wojną katolicką Francyę i okoliczne kraje, bo kto do nich nie chciał przystać, powstawali z ogniem i mieczem przeciw niemu. Pozyskawszy do swej sekty wielu możnych książąt, stali się wielce niebezpiecznymi dla Kościoła, bo okrutnie prześladowali każdego, kto się jeno katolikiem śmiał nazwać. Palili i burzyli kościoły, wsi i miasta, mordowali starców, sieroty i bezbronne niewiasty i byli „gorsi, niż pohańcy tureccy“, jak się skarży ówczesny papież, Innocenty III.

W tej niedoli szukano znowu ucieczki do Najśw. Maryi Panny. Papież posłał w ich heretyckie kraje zakonników św. Bernarda. Ci, ufni w pomoc Matki Bożej, której największym czcicielem był ich święty zakonodawca, gorąco i skutecznie wzięli się do pracy nad wytępieniem herezyi. Najwięcej jednak zdziałał św. Dominik, który przeciw Albigensom właśnie swój zakon fundował. Z różańcem w ręku przebiegał ten mąż św. ze swymi towarzyszami te kraje, niewiarą zatrute i choć głodno i chłodno nieraz im było, nie czuli tego w różańcu Maryi pokrzepienie znajdując. I ta Królowa Apostołów, którą różańcem czcili, dopomogła im w zbożnej pracy; wnet wytępili herezyę i znów czyste światło wiary błysło; zbłąkane owieczki wróciły do Chrystusowej owczarni. Pomoc Matki Bożej tak tu była widoczna, że św. Bonawentura, świadek tych czasów, całkowite zwycięstwo pomocy Najśw. Maryi P. przypisuje.

Najgorsze jednak czasy przyszły na Kościół św. w XVI w. W tym nieszczęsnym czasie zdawało się, że piekło zebrało wszystkie swe siły do walki i rzuciło je przeciw Kościołowi. Zapowiedź tych strasznych czasów czuć się dawała zdawna; wiara w sercach słabła, rozpasanie, lekkomyślność, chęć używania i rozwiozłość ogarnęły wszystkich. Nastała tak zwana „reformacya“, a raczej rewolucya w Kościele. Jak nawałnica jaka, co w mgnieniu oka zalewa cały kraj i wszystko po drodze druzgocze, tak tu, ten duch buntu objął całą niemal Europę: północne Niemcy, Dania, Szwecya, Anglia oderwały się od Kościoła katolickiego, a i na południu tu i ówdzie wszczęły się zamieszki. Stroskany losami Kościoła papież Hadryan IV. umarł z boleści. — Możni panowie, trzymający naówczas lud całej Europy w żelaznej niewoli i uciemiężeniu, narzucali wszystkim nowe wiary Lutra, Kalwina, Henryka VIII. i innych; prześladowali katolickich kapłanów, więzili biskupów i karali okrutnie wszystkich, którzy przy prawowitej wierze wytrwać chcieli. I tak mrok niewiary zalegać począł całą niemal Europę.

Ale Najśw. Marya Panna pilnie znowu czuwała nad tem, aby to światło wiary, które Syn Jej z nieba przyniósł nie zagasło na ziemi. Chociaż herezya, jak straszna zaraza, szybko się krzewiła, to jednak całe kraje i narody w tym potopie ocalały i przy Kościele św. się ostały. Polska, Austrya, Włochy, Francya i Hiszpania wytrwały w wierze św., a niektóre z utraconych, wnet potem do jedności wróciły. I co więcej? Za tę plewę, co się wówczas od czystego ziarna oddzieliła za przyczyną Matki Bożej pozyskał Kościół św. przez Jej wierne sługi nowe zastępy Chrystusowych wyznawców w Indyach, Japonii, Chinach, Ameryce i Afryce.

Opieka Najśw. Maryi Panny nad światłem wiary św. znowu tu jest bardzo widoczna. Wszyscy obrońcy Kościoła św. w tych czasach, to wierni synowie Matki Bożej. Św. Ignacy Loyola, największy bohater tych czasów, założyciel zakonu Jezuitów u ołtarza Najśw. Maryi P. czerpał natchnienie do obmyślenia środków ratunku; jego też zakonowi wiele zwycięstw nad herezyą w tych czasach przypada. Bojował ten zakon wiernie w sprawie Bożej, bo szczególną cześć do Matki Bożej, którą poniewierała herezya, miał w swej regule. Św. Franciszek Ksawery, Jezuita, płonący żywą miłością do Jezusa i Maryi, wielki Apostoł, jak drugi św. Paweł, w apostolskiej swej wierności, nie dbały o żadne trudy i niebezpieczeństwa, udał się na Wschód i cały niemal dla Kościoła pozyskał. — Św. Franciszek Salezy, biskup genueński, który tłumy Sawończyków i Szwajcarów przed herezyą ocalił, równie w modlitwie do Matki Bożej zapału i siły do pracy szukał.

A nasz kraj, Polska, co od morza do morza naówczas sięgała, czemu tej heretyckiej nawale objąć się nie dała? Bo Królowa Korony Polskiej nad nią czuwała. Nigdzie może w historyi ta opieka Matki Bożej nie jest tak wyraźna, jak nad naszym narodem. Herezyą nigdy u nas nie postała. Zbłądził ten lub ów, ale cały naród Kościołowi zawsze był wierny. Groził nam zalew pogaństwa od Wschodu, to hussarze polscy, sodalisi maryańscy, z Maryi imieniem na ustach zawsze w puch rozbijali najezdcze pogaństwo. Napadł nas luterski Szwed od północy i cały kraj zajął, pod Częstochową się wstrzymać musiał i o mury tej twierdzy naszej Królowej skruszył swój miecz zuchwały i z całej Polski cofnąć się musiał. I tak, dzięki Matce Bożej, Polska po dziś dzień wierną Kościołowi pozostaje, bo też w niej pieśń: „Pod Twoją obronę“ nigdy nie ucicha.

I tak zawsze i wszędzie bywało i bywa, iż Marya jako Obrończyni wiary św. stawa. Przez Swe Boże macierzyństwo weszła w ścisły związek z Bogiem; a że wszystkie prawdy naszej wiary św. jedność tworzą, przeto każda herezya dotyka i czci Najśw. Maryi Panny. Serce zaś dziecka najczulsze jest zawsze dla matki. To też wtedy, gdy o cześć Matki Bożej chodzi, najwięcej powstaje obrońców, a Ona, dobra Matka z pomocą zawsze im spieszy.

Wojenne nabożeństwo.

Straszne były czasy na przełomie dwunastego i trzynastego wieku. Południowa Francya i północna Hiszpania rozgorzały wtedy okropną wojną. Okrutni i dzicy Albigenzi, heretycy, którzy bluźnili Bogu i urągali wszelkiej władzy kościelnej i świeckiej, oparłszy się na książętach i możnowładcach zerwali się do rozbójniczej walki ze wszystkiem, co było święte i katolickie. Palili wsie i miasta, łupili i burzyli kościoły, mordowali kapłanów i wiernych wyznawców Chrystusa i jak wzburzona nawałnica zagrozili okropnym zalewem całemu chrześcijańskiemu światu.

Przeciw tej rozbójniczej tłuszczy stanęli na głos Kościoła chrześcijańscy rycerze i zaczęła się krwawa wojna. Po długich zapasach ulegli dzicy odszczepieńcy przewadze chrześcijańskiego oręża.

Okropny jednak obraz przedstawiała kraina, gdzie się owa wojna rozgrywała. Po zgliszczach ludnych niegdyś miast i wsi snuły się wynędzniałe ludzkie postacie, głodne, obdarte, więcej do widm jakichś, niż do ludzi podobne; straszniejszy jednak od tego cielesnego wycieńczenia był duchowy stan tych ludzi; zatruci jadem odszczepieństwa i niewiary nie ustawali w zbrodniach i występkach i coraz bardziej pogrążali się w ogólnym upadku życia, tak, iż się zdało, że te ziemie wnet do cna się zatracą.

Zjawił się tam wtedy św. Dominik. Pełen zapału i poświęcenia zabrał się św. apostoł gorąco do pracy. Mimo największych wysiłków nie mógł jednak niczego dokonać. Tarde serca odszczepieńców nie chciały się poddać działaniom łaski Bżej; lud trwał dalej w występkach i wierze. Zawiedziony w świętych nadziejach i rozgoryczony niepowodzeniem zalewał się łzami Dominik i całe noce trawił na modlitwie, prosząc Najświętszej Panny o ratunek.

Raz modlił się aż do omdlenia. I wtedy Najśw. Panna Marya wysłuchała jego próśb. Posłyszał bowiem wtedy słowa: „ziemia ta póty będzie niepłodną, dopóki na nią deszcz nie spadnie“.

I zrozumiał mąż święty, że ziemią niepłodną są odszczepieńcy, a tym ożywczym deszczem, który ją użyźni, jest nabożeństwo różańcowe. To też to nabożeństwo począł wszędzie gorliwie głosić, ucząc przy odmawianiu różańca rozważań prawd wiary św. Wnet też owa dzika ziemia wydała bogate żniwo; na miejscu występków i zbrodni wykwitły tam wspaniałe kwiaty cnót. — I nietylko owe krainy, ale niemal cała Europa zajaśniała blaskiem bożego życia, skoro jeno synowie św. Dominika ożywili w sercach ludzkich wiarę świętą przez różaniec. I dobre znowu nastały wtedy czasy.

Zaiste wielki to czynnik w odrodzeniu duchowem i społecznem ludzkości — Różaniec święty. To skromne i proste nabożeństwo bowiem zamyka w sobie wszystkie prawdy wiary, które dają światło rozumowi i kryje w sobie tyle łaski Bożej pobudzającej serce ludzkie, iż snadnie może dusze z największego upadku podnieść i przerobić.

„Spustoszeniem spustoszona jest wszystka ziemia, albowiem niemasz, ktoby rozważał w sercu“ twierdzi Duch św. w Piśmie.

Zaniedbanie „rozważania w sercu“ podaje Bóg za powód zła na ziemi. I słusznie. Przez to zaniedbanie bowiem zapomina człowiek o zasadniczych sprawach życia, o jego istocie i celu: wskutek tego wypada to życie z owego odwiecznego porządku, który Bóg ustanowił; gmatwają się wtedy sprawy życia jednostek, rodzin i społeczeństw i przychodzi ten straszny zamęt, wojna, którą „opustoszona jest wszystka ziemia“.

Wszystko, co jeno na świecie istnieje, z mocy Boga wyszło i tą mocą Bożą trwa; w tem trwaniu atoli musi wszelkie stworzenie zachować ów odwieczny porządek, w dniu stworzenia mu nadany; to zachowanie porządku Bożego, stanowi o jego trwaniu; wyłamanie się z tego byłoby jego zatratą. — Cała przyroda trwa, bo wiernie zachowuje owe odwieczne prawa Boże.

Słońce, księżyc, gwiazdy pilnie strzegą dróg, które im Bóg nakreślił. Kropla wody na morskiem przestworzu, gdy ją promień słońca ogrzeje, paruje i lotną chmurką ulata w błękity, by potem znowu opaść rosą i deszczem na ziemię; tchnienie ciepła i wilgoć ziemi budzi każdej wiosny do życia roślinę, która kiełkuje, kwitnie i owoc wydaje, a tak się w tej pracy sili, korzonkami tak skwapliwie wszędzie się wciska, że nigdy jednej kropli ziemnego soku nie uroni, lecz wszystko pilnie na owoc przerobi. Pszczoła ni mrówka nie zadrzemią nigdy we śnie zimowym; ledwie wiosenny promień słońca zaświta zrywają się te Boże pracownice do swej gospodarskiej krzątaniny i nie ustają w niej do jesieni. I tak wszystko; niebo, ziemia, morze, zwierz wszelaki odwieczną wolę Boga-Stwórcy na każdy dzień pełni; dlatego też w tych światach panuje ład i porządek i bujnia życia.

Jeno w świecie ludzkim „spustoszeniem spustoszona jest ziemia“. Człowiek bowiem przestał pełnić wolę Boga i wypadł z owego odwiecznego porządku życia na ziemi. Uprzywilejowany wolnością woli, siłą tej woli właśnie oparł się swemu Stwórcy i Panu i podniósłszy bunt przeciw Niemu, siebie w miejsce Boga postawił i sobie służyć począł. W tej zaś samolubnej służbie stał się chciwym, zawistnym, gniewliwym, zmysłowym, a pod wpływem tych namiętności skłócił się wnet ze swoją bracią na ziemi i najstraszniejsze z nią boje toczyć począł. Pali, kaleczy, zabija, bo pragnie panowania wszędzie i nad wszystkiem, przepomniawszy o Bogu, który jest Ojcem na niebie, a ludzie na ziemi, to brać jedna, równych praw i przywilejów.

„Spustoszeniem spustoszona jest wszystka ziemia, albowiem niemasz, ktoby rozważał w sercu“ o tych odwiecznych prawdach.

Różaniec święty jest rozważaniem. W tem nabożeństwie rozpamiętywa dusza całe dzieło Odkupienia. Rozważa więc straszny grzechowy upadek ludzkości i wielką ofiarę Syna Bożego, Jego wcielenie i pełne zaparcia życie na ziemi, krwawą mękę i śmierć krzyżową, chwałę zmartwychwstania i wniebowstąpienia; w tych zaś świętych sprawach widzi ciągle czynną Matkę Bożą, Jej troski, radości i smutki, największą Jej boleść pod krzyżem i najwyższą chwałę we wniebowzięciu, a wszystko to podjęte pod owem poddańczem zawołaniem: „oto ja służebnica Pańska“.

W tych rozpamiętywaniach snuje się myśl po owych świętych zdarzeniach, a usta wciąż szepczą: „Ojcze nasz... odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... Zdrowaś Maryo... módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci!“

Krzepi się serce i rozjaśnia się umysł. Pośród tych rozpamiętywań uświadamia sobie człowiek znowu to, iż on jest dzieckiem Boga, a Bóg mu Ojcem; Panem, iż jego ostatecznym celem jest „żywot wieczny“, dla wysłużenia którego Syn Boży owo dzieło Odkupienia podjął, a szczęściem w tej doczesnej wędrówce na ziemi dla człowieka, to jeno takie pokorne i ofiarne służebnictwo Boże, jakie sprawowała Marya, bo ono wniebowzięciem się kończy.

Wśród tych rozważań roi sobie dusza o takiem błogiem życiu na świecie, gdzie nie powinno być zawiści, jeno zgoda; ani wojny, jeno pokój; wtedy nie byłaby „spustoszeniem spustoszona wszystka ziemia“....

Trzeba tylko, by każdy rozważał w sercu swojem“, odmawiając na każdy dzień różaniec święty. **Włast.**

Ojciec św. a wojna

„A ja Tobie powiadam, iżeś ty jest opoka, a ja na tej opoce zbuduję Kościół mój“.
(Mat. 16. 18).

Ewangelia św. powiada, że Chrystus Pan rzekł do Piotra w Cezarei Filipowej: „Tyś jest opoka, a ja na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go. I tobie dam klucze Królestwa niebieskiego. A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech: a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech“.

Temi słowy Chrystus Pan postanowił Piotra św. następcą swoim na ziemi, najwyższym Patronem wiernych i niezależnym władzcą w rządzeniu Królestwa Jego na ziemi. Przez Królestwo to rozumie się Kościół św. i trwających w nim wiernych przez wiarę i św. Sakramenta.

To Królestwo Chrystusowe, zbudowane na Piotrowej skale, a więc niezwyciężone, trwa już na ziemi przeszło 1900 lat, łącząc wszystkie narody, języki i państwa w jedną wielką rodzinę chrześcijańską.

Jeżeli zatem O j c i e c św. jest następcą Piotra św. i głową Kościoła Chrystusowego, d l a c z e g o n i e p o ł o ż y k o ń c a t e j s t r a s z l i w e j w o j n i e? Pytanie to nieraz daje się słyszeć — co gorsza, podnoszą się głosy, które nie wahają się obwiniać Ojca św. i duchowieństwo o roznieceenie tej wojny.

Cóż odpowiedzieć na ten zarzut nieuzasadniony? Ojciec św. nie ma władzy wojnie przeszkodzić, albo ją ukrócić, bo nie w jego mocy usunąć przyczyny tej wojny. A jakież to przyczyny? Te same, które wśród pojedyńczych ludzi rodzą zawiść i niezgodę. „S k ą d ż e w a l k i i z w a d y m i ę d z y w a m i? I z a l i n i e s t ą d? z p o ż ą d l i w o ś c i w a s z y c h, k t ó r e w o j u j ą w c z ł o n k a c h w a s z y c h“. Stąd pochodzi bezgraniczna zarozumiałość, zazdrość i chęć panowania, stąd niezgoda w rodzinach i państwach. Ale podczas kiedy osoby prywatne zdają się na wyrok ustanowionego Sądu w procesach i nieporozumieniach, dla państw takiego Sądu niema. Jeżeli więc same do porozumienia się nie skłonią, jeżeli nie wybiorą sobie polubownego Sędziego ,spada na nich za dopuszczeniem Bożem bicz wojny, którym Bóg i niewinnych chłoszcze.

Chrystus Pan przez mękę i śmierć swoją zgładził grzech i wieczną zań karę, ale nie wyrwał z serca ludzkiego korzenia pożądliwości. Zostawiona ona jest człowiekowi dla większej jego zasługi. Im bardziej opanuje tę złą pożądliwość, tem życie jego stanie się milszem, tem większą w niebie otrzyma nagrodę. Przeciwnie im bardziej ona w nim zapanuje, tem gorsze będą następstwa, jak na to dzisiaj sami patrzymy.

Zatem i Ojciec św. niema władzy usunąć ostatecznych przyczyn wojny.

Ale co czyni Ojciec św? Podnosi głos swój na cały świat i nawołuje wielkich i małych do miłości i sprawiedliwości. Odezwy jego do panujących, biskupów i duchowieństwa pełne są rzewnej skargi i kiedy wszyscy zdają się zapominać o prawach ludzkości, on jeden ich strzeże i broni.

Ojciec św. modli się za wszystkie narody tej ziemi, aby Bóg odwrócił karzącą rękę swoją, aby oświecił umysły wojujących i przyprowadził ich do pokoju i jedności. W tym też celu nietylko zaraz na początku wojny zarządził, aby kapłani odmawiali we Mszy św. modlitwę o pokój ,ale sam piękną modlitwę ułożył, napominając biskupów i kapłanów, aby zachęcali wiernych do błagalnych modłów.

Nie dosyć na tem. Wstępując na tron papieski, Ojciec św. zapowiedział, że nie zaniedba niczego, aby przyśpieszyć koniec tego strasznego zmagania się narodów; i wierny temu pozostał i brał nieraz osobisty udział w niesieniu ulgi i pomocy. Nie zdołał wprawdzie dotąd zakończyć wojny, ale otarł niejedną łzę, niejednej ulżył niedoli: za jego pośrednictwem nastąpiła wymiana jeńców, ciężko chorych i inwalidów i zakładników cywilnych. Z troskliwością ojca zajął się losem naszych jeńców we Włoszech, oddał ich w opiekę biskupów i otworzył w Watykanie wywiadowcze biuro dla rodzin zabitych, rannych lub zaginionych.

Jakąż więc krzywdę wyrządza się Ojcu św. mówiąc, że patrzy na wojnę obojętnem okiem i że on ją roznicił. Nawołując władzców tego świata do miłości i sprawiedliwości, przypomina im Ojciec św. dwie główne podstawy społeczeństwa ludzkiego: pierwsza z nich mówi: „Sprawiedliwość rodzi pokój“, „O gdybyś strzegł przykazania mego, woła prorok Izajasz, pokój twój zamieniłby się w strumień potężny“, a Psalmista Pański dodaje: „Sprawiedliwość i pokój pocałowały się“. Św. Augustyn uważa, „że sprawiedliwość jest matką pokoju, dlatego słuszną jest rzeczą, aby matka z córką dały sobie pocałowanie“... Drugą podstawą społeczeństwa ludzkiego jest, że wojna jedynie jest dozwolona w obronie naruszonego prawa, inaczej staje się ciężkim występkiem przeciw Bogu i ludzkości.

Kościół św. nie pozwala więc na użycie broni w innym celu, jak we własnej obronie; przy poświęceniu oręża kapłan wymawia te słowa: Niechaj błogosławieństwo Boże spłynie na ten oręż i na tego, który go przypasze, ażeby bronić sprawiedliwości: prosimy Cię

Panie, ażebyś go strzegł i bronił mocą swoją". Tak uczy Kościół św. i tak za nim nawołuje Ojciec św.; dalekim jednak jest od narzucania się narodom na sędziego i rozjemcę. Sąd ten zostawiony Bogu samemu, przed którym nikt się nie skryje.

Pozostańmyż wierni Kościołowi i Ojcu św., który stoi na skale wiary i sprawiedliwości; spełniajmy wiernie obowiązki nasze i krzepmy się słowami Psalmisty: „Mocy moje u Ciebie strzedz będę, albowiem Boże jesteś obrońca mój". (Ps. 58. w.).

Rola niewiasty polskiej w walce z alkoholizmem.

„Rodzina wszystkiego jest podstawą — dachem i głazem!
Rodziny zaś uosobieniem, relikwią i codziennym chlebem — kobieta".

Napoleon I.

Na kartach historyi polskiej widnieją imiona zacnych Polek; jedne pracowały dla dobra — Ojczyzny, w zaciszu domowego życia, inne stawały nawet w szeregach wojskowych. I dziś wre walka i rozbrzmiewa surma bojowa, ale chwila obecna nie domaga się od kobiet, by brały do rąk karabin, bo dla nich jest inna i odpowiedniejsza praca! Oto naokoło rozlega się szloch, wołanie niedoli i nędzy. Zmienione warunki bytu wskazały i kobiecie inne cele, ponad kuchnię i gospodarstwo domowe. Przeżywamy chwile, jakich nie zna historya. Burza wojenna strasznie nas dotknęła i dotyka, ale wierzymy, że Opatrzność Boża w ten sposób toruje nam drogę do odrodzenia Ojczyzny, a droga ta prowadzi przez udoskonalenie jednostek.

Wstępem do prawdziwego udoskonalenia musi być usunięcie złego, a w szczególności plagi alkoholizmu. Alkohol, to największy nasz wróg. Do walki z nim musimy powołać wszelkie siły. W szeregu walczących z nim nie powinno braknąć nikogo, zatem i kobiet, gdyż i one mają prawo, co więcej obowiązek stanąć do wspólnej pracy wedle sił i powołania kobiety. Zatem do pracy, choć wielka i trudna, ale zato piękna i ogromnej doniosłości! Walka z alkoholem, to sprawa społeczno-narodowa pierwszorzędnej wagi, gdyż pijaństwo, alkohol wyssysa najżywotniejsze soki z naszego organizmu. Do walki z alkoholem ma stanąć i kobieta! Owszem, kobieta powinna stanąć na czele walczących, a to dlatego, że bez otwartego i wyraźnego udziału kobiet nigdy jeszcze niczego nie osiągnięto w walce z alkoholem, nadto dlatego jeszcze szczególniej kobiety powinny poprzeć tę walkę, ponieważ poprawa stosunków w kraju zależy głównie od kobiet. Wszak one prowadzą gospodarstwa, one wychowują rodziny. Kobiety głównie powinny pamiętać, że ojczyzna, jeżeli ma się stać wielką, potrzebuje nie jakiegoś krwawego bohaterstwa, ale codziennej pracy i codziennego sumiennego i dobrego wypełniania obowiązków. Do upadku narodów przyczyniały się nieraz kobiety; ich lekkomyślność grób ojczyźnie grzebała. Ale bywały one i przyczyną jej powstawania i wielkości. A czyż nasze kobiety nie zechcą przyczynić się do zrzucenia jarzma niewoli? Czyż nie takiemi były nasze prababki? Czyż Polka ma być lalką wystawową? — Broń Boże! Nie! — Nie wolno jej być taką, bo ojczyzna w żałobie. Przyszłość narodu leży w rękach kobiet — one mogą go na drogę ocalenia wprowadzić lub do zaguby popchnąć. Wstrzemięźliwość od trunków (abstynencya) to wstępny szczebel na drabinie pracy dla odrodzenia narodu.

Szkodliwość wszelkiego nadużycia dla zdrowia znaną była dawno. Ale nasze czasy przyniosły naukowe stwierdzenie szkodliwości nawet umiarkowanego używania trucizny zawartej w trunkach alkoholicznych. Ta szkodliwość nie łatwo i nie rychło staje się dostrzegalną, ale przez to właśnie jest najgroźniejszą, bo niespostrzeżenie podkopuje podstawy zdrowia ciała ludzkiego. Zbytki pociągające za sobą znaczne wydatki, a w niczem nie przynoszące pożytku zwiększają nędzę, tamując wzrost dobrobytu, utrudniając wydatniejszą ofiarność na cele publiczne. Naród tak ubogi jak nasz, skazany na inicyatywę prywatną i samopomoc w zaspokajaniu potrzeb kulturalnych w duchu narodowym, szczególnie nie ma prawa do rozrzutnej, nieoględnej, egoistycznej gospodarki. A przecież naród nasz zagrożony na wszystkich placówkach rocznie około 500 milionów koron wyrzuca w błoto, ba nawet gorzej niż w błoto. Nałogi następnie czynią ludzi egoistami i uniemożliwiają prawdziwą, społeczną miłość, odbierając równocześnie dzielność, a popychając do występku. I jak społecznie szkodliwymi demoralizującymi są przez zły przykład nałogi, tak walka z nimi staje się obowiązkiem społecznym i warunkiem narodowego postępu.

Obce kobiety państw wolnych i niepodległych walczą ze złem czynnie na rozmaitych polach, a zwłaszcza na polu alkoholizmu. W Anglii np. w r. 1896 7 milionów samych kobiet własnoręcznie podpisało odezwę do król. Wiktoryi o załatwienie sprawy alkoholu. W Norwegii na 2 mil. mieszkańców 57.000 kobiet zwalcza alkohol. Podobnie postępują kobiety Niemiec, Szwajcaryi, Szwecyi i t. p. Zasługą kobiet w pierwszej linii jest fakt, że w Szwecyi ogromnie zmniejsza się używanie trunków, w r. 1830 bowiem przypadało na głowę rocznie 46 litrów wódki, liczba ta w 1903 spadła do 7.5 litr. W Norwegii w przeciągu 40 lat z 16 na 3.2 litr. W Finlandyi od 1866 do obecnej doby z 20 na 3.4 litr. Zasługa w tem w znacznej mierze kobiet; głównie młodzież mają na pieczy, ale i starszych nie opuszczają — budują domy i restauracye bezalkoholowe. W Zurychu w Szwajcaryi np. związek pań abstynentek zaprowadzony w 1894 r. dziś posiada w tem mieście 9 restauracyi bezalkoholowych, do których uczęszczało przed wojną dziennie 5—7 tysięcy ludzi. Oto praca kobiet narodów wolnych! Pracują, bo wiedzą, że największe szczęście kobiety tj. życie familijne, małżeństwo, szczęście najdroższe dzieci — niszczy straszliwa hydra alkoholu. Zwalczają tę truciznę, bo wiedzą, że w ten sposób i sobie i mężowi i dzieciom, a także i krajowi przyszłość i dobrobyt zapewnią. A czyż nasze Polki mniej kochają swój naród? Czyż naród nasz ciężkich klęsk nie zaznał? Czyż nie stoi przed kobietami sposobność do usunięcia jednej z przyczyn upadku Polski? Czyż nie chcą widzieć nasze Polki ruiny ognisk domowych, piekła ich życia, zatraty moralności? Toć przecież mąż pijak ostatni grosz zabiera nieraz do knajpy.

A przecież chociaż kobieta może temu zapobiedz, to jednak nie zapobiega. Dlaczego? — Bo brak jej odwagi cywilnej do obalenia zwyczajów przy każdej sposobności, bo kobietę naszą znamionuje obojętność i bierność w tej wielkiej zasadniczej sprawie. Co gorsza demoralizacya alkoholu zaraża dziś nawet kobiety same, matki, a często i dziewczęta, które wiedzie niejednokrotnie na straszne drogi rozpusty. Oto, so sprowadza wódka, alkohol, pijaństwo! Tak dzieje się w rodzinach polskich, na weselach, chrzcinach, a kobieta strasznego zła nie usuwa i z niem nie walczy! Kto jeśli nie kobieta dostarcza coraz to nowych zastępów alkoholików, gdy zachęca, częstuje gości alkoholem. Wszak tak w mieście.

jakoteż na wsi nie może się obejść żadna uroczystość bez wódki, wina, piwa; święta, wesela, zabawy nawet wycieczki w lesie wśród cudów przyrody są dla wielu bez napitku wprost niemożliwe. A przecież zabawy w domach prywatnych okazały, że bez alkoholu — trzeźwo, wesoło, daleko lepiej bawić się można, niż tam, gdzie zalane głowy cały urok świeżości zabawie odbierają. Oto czem alkohol w rękach kobiety. A przecież któż od niej więcej może zdziałać w walce z alkoholem? Są już rodziny, gdzie podają tylko barszcz i herbatę, w innych wina bezalkoholowe, a podawano tam dawniej wszystkie rodzaje trunków — aż gospodyni abstynentka usuwała je, usuwała, a wreszcie podała barszcz i alkohol zniknął z domu. Zwyczaj toastowania związał się u nas z trunkiem nierozłącznie, a przecież treść toastu wypowiedzieć można i bez kieliszka, a tak samo złożyć życzenia na weselu. **K. St.**

Ceremonia wkładania rąk

podczas święceń kapłańskich.

Wkładanie rąk, to właściwie szczyt całego świętego obrzędu, jest to moment, w którym istotna część tego Sakramentu się dokonuje.

Odmówiwszy Litanię, Biskup wstaje i odwraca się do ludu, mitrę ma na głowie, a przed niego przychodzą dyakoni, aby teraz otrzymać godność kapłańską. Parami przystępują do Biskupa i klękają przed nim. Biskup stojąc kładzie swoje ręce każdemu z osobna na głowę, nie mówiąc przy tem ani słowa. Tosamo czynią nad każdym z osobna wszyscy obecni kapłani: każdy z nich, mając stułę na szyi, przystępuje i po Biskupie kładzie swoje ręce na głowę każdego, nic nie mówiąc. Biskup i obecni kapłani, gdy na wszystkich ręce powkładali, trzymają teraz każdy prawą rękę nad klęczącymi przed ołtarzem dyakonami, a Biskup tymczasem odmawia głośno nad klęczącymi tę ważną modlitwę po łacinie:

Bracia najmilsi, módlmy się do Boga, Ojca Wszechmogącego, aby tych sług swoich, których wybrał do urzędu kapłańskiego, obdarzył licznymi darami niebios: niech z Jego pomocą osiągną to, co z łaski Jego przyjmują. Przez Chrystusa Pana naszego.

℟. Amen.

Po tej modlitwie Biskupowi zdejmują mitrę z głowy, a on zwraca się do ołtarza i mówi po łacinie: M ó d l m y s i ę. Ministranci wzywają obecnych, aby przyklękli, mówiąc F l e c t a m u s g e n u a! (tj. uklęknijmy), a inni odpowiadają: L e v a t e! (tj. wstańcie) — I wszyscy przyklękają na jedno kolano i zaraz znowu wstają, a Biskup twarzą zwrócony do klęczących, jeszcze ciągle przed nim, tak się modli:

Wysłuchaj nas, Panie, Boże nasz, prosimy Cię, i wylej na tych sług Swoich błogosławieństwo † Ducha świętego (przy tem czyni nad nimi znak krzyża) i napełnij ich hojnością łaski Swojej tych, których stawiamy przed łaskawem obliczem Twojem, abyś ich poświęcił. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, Syna Twego, który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha świętego Bóg.

Chwila to nader uroczysta i wzruszająca. Bo oto w tej chwili dokonuje się święty Sakrament kapłaństwa: ci, klęczący przed Biskupem młodzieńcy są wyświęceni na kapłanów: ze zwyczajnych ludzi stają się duchownymi, kapłanami Jezusa Chrystusa. — Jakby z tych wyciągniętych ramion Biskupa i kapłanów i przez odmówione modlitwy sakramentalne, spłynęła na nich za sprawą Ducha świętego moc z wysokości, i wielkie rzeczy uczynił im Ten, który możny jest i święte imię Jego. W tej chwili oto Pan Jezus, ten Najwyższy Kapłan, przelał na nich moc Swoją, która Mu jest dana od Ojca niebieskiego. W tej chwili zstąpiła na nich łaska Sakramentu, w tej chwili wycisnął Duch święty na ich duszach swoje znamię, wyrył w nich charakter sakramentalny kapłaństwa, którego żadna moc na niebie i na ziemi nie zniszczy, odtąd każdy z nich jest „kapłanem do końca wieka“, odtąd władzę zwłaszcza sprawowania Ofiary i udzielania Sakramentów świętych.

Modlitwy i ceremonie, które teraz jeszcze nastąpią, zwłaszcza podanie naczyń świętych, muszą się koniecznie odbyć według przepisu Kościoła, ale władza kapłańska udziela się ściśle biorąc przez wkładanie rąk i odmawianie przy tem modlitwy. To wkładanie rąk przez Biskupa jako materya i odmawianie przy tem modlitwy jako forma stanowią istotną część Sakramentu kapłaństwa. Dalsze modlitwy i ceremonie mają jeszcze dokładniej wyrazić władze, otrzymane już przez włożenie rąk Biskupa, i wyobrazić je w przepiękny sposób symboliczny. Biskup mianowicie sam ubierze potem wyświęconych kapłanów w szaty kapłańskie, sam namaści im dłonie, które mają piastować Pana Jezusa utajonego pod postaciami chleba i wina; poda im kielich z winem i patenę z chlebem (hostyą niekonsekrowaną), a na końcu jeszcze raz włoży na nich ręce i osobno wyraźnie będzie mówił o nadanej im już przy pierwszem włożeniu rąk władzy rozgrzeszania. Ale wyświęceni oni już są, skoro tylko Biskup skończył modlitwy powyżej podane, tj. tę, która się zaczyna od słów: „Bracia Najmilsi“ i drugą, która się zaczyna od słów: „Wysłuchaj nas“.

Miły Bracie, który na to wszystko patrzysz, lub czytasz ten opis, rozważ to dobrze, z jaką to powagą i z jakiem świętem namaszczeniem i dziwnym spokojem i majestatem Kościół św. sprawuje ten Sakrament kapłaństwa! Nie widzisz tu nic próżnego lub błyskotliwego, lecz wszystko owiane jest duchem nadziemskim, wielką prostotą i majestatem. Ale bo też nasz Kościół święty świadom jest swego majestatu nadziemskiego, co czyni, spełnia z tem przeświadczeniem, że to są rzeczy Boskie. Uwielbiaj Boga i ukochaj ten Kościół nasz za to.

Nad wyświęconymi dopiero co kapłanami odmawia teraz Biskup, trzymając ręce rozłożone przed piersiami, następującą wzniosłą modlitwę po łacinie. Zaczyna się ona tak, jak prefacya we Mszy św.; jest ona wykładem i nauką o kapłaństwie, ale też zarazem prośbą o łaskę świętego życia dla tych kapłanów. Modli się tedy Biskup po łacinie tak:

P o w s z y s t k i e w i e k i w i e k ó w.

Odpowiadają mu: A m e n.

Biskup: P a n n i e c h b ę d z i e z w a m i!

Odpowiadają: Z t o b ą t a k ż e.

Biskup: W g ó r ę s e r c a!

Odpowiadają: M a m y j e p o d n i e s i o n e d o P a n a.

Biskup: D z i ę k i c z y ń m y P a n u, B o g u n a s z e m u!

Odpowiadają: G o d n i e i s p r a w i e d l i w i e t o j e s t.

Biskup ciągnie dalej:

Zaiste, godna i sprawiedliwa to rzecz, słuszna i zbawienna, byśmy Ci zawsze i wszędzie dziękowali, Panie święty, Ojcze Wszechmogący, Boże wieczny, który jesteś początkiem wszelakiego urzędu i dawcą wszystkich

godności. Od Ciebie pochodzi świat cały i moc wszystka, Ty do coraz to wyższej doskonałości podnosisz stworzenie rozumne, wszystko wtym porządku, który ustanowiło mądre Twoje zrządzenie.

Stąd też w Sakramenta się rozwinęły stopnie kapłaństwa i urzędy lewitów; najwyższych kapłanów (Biskupów) postawiłeś na czele, aby prowadzili lud Twój, a do pomocy im dałeś mężów, którzy mają być niższej od nich godności i urzędu. Tak niegdyś na pustyni rozdzieliłeś ducha Mojżeszowego między siedmdziesięciu mądrych mężów, aby z ich pomocą mógł łatwiej kierować licznym ludem. Tak też wylałeś pełnię łask ojca Aarona na jego synów Eleazara i Itamara, aby była potrzebna liczba kapłanów do sprawowania świętych ofiar. Tąsamą opatrznością, Panie, przydałeś Apostołom Syna Swego nauczycieli wiary do pomocy, a z ich pomocą oni napełnili cały świat słowem Bożem. Prosimy Cię tedy, Panie, udziel i nam także takich pomocników, których potrzebujemy tem bardziej, im ułomniejszymi jesteśmy.

Daj, prosimy Cię, Wszechmocny Ojcze, tym sługom Swoim godność kapłańską, odnów w ich sercach Ducha świętości, aby otrzymany od Ciebie urząd wykonywali, jak podwładni Biskupom pomocnicy, i przykładem wzorowego życia innych do cnót zachęcali.

Niechaj się staną gorliwymi współpracownikami w naszym urzędzie; niechaj w nich jaśnieje wszelaka sprawiedliwość, żeby kiedyś mogli zdać dobry rachunek z powierzonego sobie urzędu i za to otrzymać nagrodę wiecznego szczęścia.

Następujące słowa Biskup odmawia głosem przyciszonym, jakby sam dla siebie mówił:

Przez tegoż Pana naszego Jezusa Chrystusa, Syna Twego, który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha świętego Bóg po wszystkie wieki.

Odpowiadają: A m e n.

Czy nie widzisz, czytelniku miły, że Kościół ciągle tylko o to jedno prosi Boga, żeby mianowicie ci kapłani święte życie prowadzili i innych do nieba wiedli drogą cnoty? Tak jest, Kościół niczego, ale doprawdy niczego innego nie pragnie, jak tylko wiecznego zbawienia dla wszystkich, a kapłani jego właśnie mają mu w tem pomagać i sami przy tem mają się zbawić. A ponieważ to rzecz trudna, bo człowiek słaby jest, więc dla tych przyszłych kapłanów swoich prosi Kościół przy tych święceniach ciągle o łaskę i pomoc z nieba, bo oni, choć do wysokiej godności podniesieni i kapłańskiem święceniem obdarzeni, ludźmi słabymi być nie przestaną. Módl się za nich i ty także dzisiaj, módl się często za wszystkich kapłanów!

Już i w poprzednich numerach naszego pisemka mówiliśmy o święceniach kapłańskich. Są to wyjątki z broszurki napisanej przez X. dra Jana Korzonkiewicza, Rektora Seminaryum duchownego. Zachęcamy bardzo wszystkich naszych czytelników, by sobie nabyli tę pouczającą a tak praktycznie napisaną książeczkę. Cena jednego egzemplarza 30 halerzy. Zamówienia zwracać należy pod adresem: Kancelarya Ks.-Biskup. Konsystorza, ul. Franciszkańska 3.

W imię solidarności.

Wojna obecna wżera się w cały organizm naszego społeczeństwa i wyciska na nim swe piętno. Krwawy ten stempel ciężko wybija się na życiu gospodarczem, lecz jeszcze donioślejsze jest jego działanie na życie ducha narodowego. Trudno napewne powiedzieć, jak się ułożą wypadki polityczne, lecz zawsze zostanie naród jako jeden organizm i ten ma i będzie miał własne życie, które mamy kształtować. Ta praca twórcza nad życiem organizmu narodowego teraz również nie może ustawać, lecz owszem iść nawet w żwawszem tempie. Wytwarzajmy siły potrzebne do życia i rozwoju przez ciągłe ulepszanie życia jednostek i przez ulepszanie swego stosunku do naszych współrodaków. Nie oddawać się apatyi, lecz pracować tem usilniej, gdyż cokolwiek nastąpi, to praca twórcza nigdy nie zginie, lecz w każdem położeniu plon przyniesie. Wypadki uczą nas, jaką drogą iść należy. Z każdej więc nauki należy nam korzystać, i w poczuciu wielkiej odpowiedzialności przed narodem i historyą pracować dla siebie i drugich. W obecnych zwłaszcza tak ciężkich warunkach złączmy się razem, pomagając sobie nawzajem — a nigdy i pod żadnym warunkiem nie powodować się zazdrością, lub innemi podobnie nieszlachetnemi uczuciami! Nie szkodzić nigdy drugiemu.

Jeżeli ktoś zajmuje jakieś wyższe stanowisko, to przedewszystkiem powinien pomagać swoim braciom, zwłaszcza maluczkim, wdowom i sierotom. Więc pomagać, radzić jeden drugiemu, o ile się może, czy to osobiście czy swoimi wpływami, a spełnimy piękny obowiązek chrześcijański. W jedności i miłości wspólnej nasza siła.

Ciężki przymus wojenny zmusza nas do trudów nad siły, do ofiar najcięższych nawet z życia — to czyż miłość nie powinna nas skłaniać do wzajemnej pomocy! Tego wymaga obowiązek, tego żąda szczególnie ciężko dotknięty wojną lud polski od swoich starszych braci! Miłość i solidarność niech kierują działaniem Polaka na każdym kroku, na każdym stanowisku. **R.**

Początki nawróceń.

Zapadał wczesny, zimowy wieczór i ostry mróz chwytał. Na moście nad rzeką stał kapłan-zakonnik. Czekał na kogoś. Dokoła panowała cisza; tylko wiatr poświstywał. Wtem dały się słyszeć z oddali skrzypiące po śniegu czyjeś kroki i wnet ukazał się na moście jakiś młodzieniec. Gdy kapłan obaczył, zerwał się nagle i rzucił się z mostu w zlodowaciałe nurty rzeki. Krzyknął przerażony młodzieniec. Myślał, że to jakiś samobójca, co w objęciach śmierci szuka ulgi. Wzruszony chciał biedz nieszczęśliwemu na pomoc. W tem usłyszał głos z wody: „Idź i grzesz, ja tu za ciebie tymczasem pokutować będę!“ Dreszcz przeszedł młodzieńca. Po głosie poznał mówiącego: Ignacego Loyolę; słowa świętego kapłana w głąb serca mu się wdarły, a wstyd i ból okrutny przejął mu duszę. Szedł oto na umówioną schadzkę, szedł tarzać się w bagnie rozpusty. Ale ten dziwny czyn świętego kapłana i te jeno słowa, które jak ogień wdarły się do serca i wstydem je paliły, zatamowały mu drogę. Nie poszedł; i nigdy już nie poszedł. Ta chwila go uratowała; ta chwila była początkiem jego nawrócenia.

Dziwnym jest Bóg w rządach swoich. Jedno, drobne nieraz zdarzenie, jedno słowo małe Jego łaską spowodowane, sprowadza zwrot w życiu i odmienia człowieka zupełnie. Tak, bo „Królestwo Boże“, wedle nauki Jezusa, Chrystusa, to jak maleńkie ziarnko gorczyczne, co potem w wielkie drzewo urasta, — to jak kropla kwasu, co rozczyn mąki cały przejmie i wzruszy. Takiem ziarnkiem gorczycznem i kroplą kwasu pada łaska Boża na ludzkie serca, utajona w jednem marnem słówku, posłyszanem na kazaniu, przy spowiedzi, z ust przyja-

ciela i w tych tysiącznych okolicznościach, w jakich przewija się ludzkie życie. Z łaską i miłosierdziem Bóg wszędzie na człowieka czeka.

W życiu każdego człowieka się zdarzy, że jedno jakieś szczególne słowo, gdzieś w głębię serca mu wpada i słyszy je potem człowiek ciągle; jego dźwięk brzmi mu zawsze w uszach. Gdy to było słowo złe, sprowadza człowieka z czasem na bezdroża, gdy zaś było dobre i z łaski Bożej wyszło, a jak owo ziarnko gorczyczne w sercu utkwiło, poczyna się w człowieku wzrost łaski Bożej. To słowo odrodzenia najczęściej od Boga pochodzi. Pokutnicy i nawróceni wyczytali je w Księgach świętych, lub posłyszeli w kościele.

Św. Augustyn leżał raz zadumany w ogrodzie pod drzewem figowem. Był wówczas jeszcze poganinem, choć znał już prawdy wiary chrześcijańskiej. Od wielu lat jednak tarzał się w błocie rozpusty i o nawróceniu wcale nie myślał. W tem posłyszał śpiew. Jakiś chłopczyk, czy dziewczynka nuciła cieniutkim głosem piosenkę, powtarzając ciągle: „Bierz i czytaj, bierz i czytaj“. Augustyna dziwnie jakoś ten śpiew przejął. Zerwał się i pobiegł na miejsce, gdzie poprzednio siedział ze swym przyjacielem Alpiusem i czytał listy św. Pawła. Chwycił św. księgę i na pierwszy rzut oka napotkał słowa: „Jako we dnie w uczciwości chodźcie, nie w biesiadach i pijaństwach, nie w łożach i niewstydliwościach, nie w zwadzie i zazdrościach“ (Rom 13, 13.). Dalej czytać nie mógł; opuścił książkę, a promień łaski Bożej wdarł się do jego duszy. Nawrócił się z drogi błędu i stał się chrześcijaninem, a w końcu wielkim świętym.

Św. Antoni, bogaty młodzieniec posłyszał raz na kazaniu słowa, które Chrystus Pan wyrzekł był do młodzieńca: „Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj co masz i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, a przyjdź i pójdź za mną“ (Mat. 19, 21) — i posłuchał Bożego wołania, sprzedał swą majętność, a sam poszedł na pustynię.

Św. Franciszek z Assyżu porzucił wygodne i dostatnie życie u bogatego ojca, a przywdział grubą zakonną siermięgę i obrał twarde życie, bo go raz głęboko uderzyły słowa ewangelii św., opowiadające o wysyłaniu apostołów przez Chrystusa Pana na nawracanie świata, gdy iść mieli boso, bez laski, bez pieniędzy i w jednej sukni.

Ale nietylko tak wprost wyrzeczone słowo Boże, słowo Pisma świętego, czy kazanie nawraca ludzi. Przyjazne słowo dobrego przyjaciela, a nawet uszczypliwa uwaga wroga z dopustu Bożego nieraz cuda działa.

Św. Monika, matka św. Augustyna, w młodocianych swych latach miała brzydki nałóg pokryjomu pić wino, łudząc się, że nikt o tem nie wie. Wiedzieli jednak o tem ludzie. Raz nazwał ją ktoś złośliwie pijaczką. Zapłoniło się dziewczę, zabolało je w sercu brzydkie przezwisko, ale w tym momencie pozbyła się nałogu i weszła na drogę nadzwyczajnej cnoty.

Słowo łaski Bożej pada na zbłąkaną duszę lada chwila i gdziebądź. Nie trzeba na to nieraz jakichś wspaniałych uroczystości kościelnych.

W jednej gospodzie w Paryżu siedziało dwu ludzi, przyjaciół i krajan, różnych wiekiem, ale jeden z nich był już wówczas profesorem uniwersytetu paryskiego, a drugi jego uczniem. Profesor z ożywioną radością opowiadał przyjacielowi-uczniowi o pomyślnym wyniku swych badań naukowych i o szczęściu, jakie mu daje szeroka wiedza; przyjaciel słuchał w zamyśleniu słów profesora i mimowoli wymknęło mu się z ust zdanie: „Cóż to pomoże człowiekowi?“ Te cztery słówka zaważyły o przyszłym życiu profesora. Porzucił katedrę i przywdział habit zakonu, świeżo właśnie założonego przez tego właśnie ucznia. Tym uczniem był św. Ignacy Loyola, a profesorem wielki później misyonarz św. Franciszek Ksawery.

Dziwną jest moc Boża nietylko w wielkich, ale nadewszystko w małych, drobnych sprawach. A ludzie te drobne sprawy tak sobie mało ważą! Ten i ów pragnie się nawrócić i żyć święcie i czeka z tem na wezwanie Boże, które sobie zawsze jako jakąś nadzwyczajność, cud i t. p. wyobraża. Czeka, a Bóg tyle razy już do jego serca kołatał z łaską przez drobne zdarzenia, a on tego nie słyszał, bo chce nadzwyczajności.

Czemże jest dla zdrowego i silnego człowieka noc nieprzespana? Drobnostką, na którą się nie zważa. Więc jakże taka drobnostka mogłaby być dla grzesznika początkiem nawrócenia? — A jednak tak się nieraz dzieje, gdy tylko człowiek na działanie łaski serca nie zamyka.

Pewien bogacz nie mógł sypiać wśród skwarnych nocy letnich. W ciszy nocnej słyszał zawsze bicie każdej godziny. I to mijanie godzin bardzo go raz przeraziło. „Godzina za godziną mija i już się nie wróci. Życie ucieka, wieczność się zbliża. A jak tam będzie w tej wieczności? Jaką będzie ta straszna noc piekielna, która się nigdy nie skończy?“ Ta myśl tak go przejęła, że porzucił światowe życie, uciekł od ludzi i pokutował na pustyni.

Sen — to drobnostka; każdy śni i nie zważa na to. A jednak czasem i przez sen Bóg na człowieka woła.

Zagrzęzły w grzechu pewien młody człowiek miał raz straszny sen. Śniło mu się, że jedzie koleją wprost do czeluści piekielnych. Pociąg pędzi lotem błyskawicy i wrzyna się w coraz głębsze ciemności. Od czasu do czasu staje i nowych ludzi zabiera i znów pędzi. Jęk, łkanie, to znów dziki śmiech, bluźnierstwa i przekleństwa rozlegają się dokoła, a pociąg w straszną ciemność coraz szybciej pędzi. Wreszcie ze zgrzytem staje nad morzem ognia. „Stacya piekło — wieczny spoczynek!“ — zaryczał jak piorun ktoś okropnym głosem. — Śpiący zbudził się przerażony. Spokój i cisza nocna jeszcze go więcej zatrwożyły. Zbudził się w nim robak sumienia. Ten sen był dla tego człowieka początkiem jego nawrócenia.

Co jeszcze dziwniejszego, to to, że nawet zło, które człowiek popełnia, powoduje w nim czasem jego nawrócenie.

Był w starożytnym Rzymie aktor, który się zwał Gencyusz. Był on synem chrześcijańskich rodziców, ale sam szydził z chrześcijan. Udawał w teatrze kościelne obrzędy, pogańskie pospólstwo się śmiało, a krwiożerczy cesarz Dyoklecyan lubił go za to. Raz chciał się wyśmiać Gencyusz z chrześcijańskiego zaopatrywania chorego i wezwał kapłana. Kapłan przybył i zaczęła się spowiedź. Gencyusz zmyślał zrazu niestworzone rzeczy. Tknięty jednak łaską Bożą poczuł w jednej chwili straszny żal w sercu. Skończył uczciwie spowiedź, wstał, poszedł do starosty i oświadczył, że jest chrześcijaninem. Porwano go na męki. „Nie wydrzecie mi wiary z serca!“ — były jego ostatnie słowa. Ścięto go 28. sierpnia 286 roku.

Wstąpienie na chwilę do kościoła, to nic nadzwyczajnego. Do kościoła idzie nawet najzatwardzialszy grzesznik. A przecież kościół, to iście dom Boży. Tam Bóg, w Najśw. Sakramencie utajony istotnie mieszka i jakiś mimowolny lęk tam człowieka ogarnia i poważne myśli go nachodzą. Snuć jeno dalej te myśli trzeba, a owa chwila w kościele stanie się początkiem nawrócenia,

Potomek starej francuskiej rodziny Diupre, już jako dwunastoletni chłopiec wstąpił w szeregi wojsk Ludwika XIV. Za parę lat objął dowództwo pułku za wierność, jaką okazał swemu królowi. Ale o królu niebieskim wnet zapomniał i używał świata we wszelki godziwy i niegodziwy sposób, aż zabrnął w kałuży grzechu po szyję. Jedno mu tylko zostało: poszanowanie dla Domu Bożego. Nieraz z narażeniem życia bronił w czasie wojny świątyni Pańskiej przed znieważeniem. Sprzykszyło mu się jednak wreszcie wojsko, wystąpił i osiadł we Wenecyi. Tu zdobył sobie zaufanie Wysokiej Rady i posłował raz w jakiejś sprawie do Rzymu. Raz przechodził koło kościoła Najśw. Maryi Panny Większej i wstąpił doń na chwilę. Nie poszedł się tam modlić, a jednak Matka Boża spojrzała nań łaskawie. Poczuł jakieś wzruszenie w duszy, jego straszne grzechy stanęły mu przed oczyma i żal serce ścisnął. Z głośnem łkaniem runął na posadzkę i leżał długo... W powrocie do Wenecyi wyspowiadał się ze skruchą w Lorecie, a potem wstąpił do zakonu Serwitów i tak nawrócony skończył świątobliwy żywot 8 marca 1701 r.

Tak to Opatrzność Boża ciągle czuwa i na różne sposoby do serc ludzkich kołacze. Oby jeno te serca zawsze się otwarły!

Wojna i rozpusta.

Zawsze tak bywało, że wojna powodowała rozluźnienie obyczajów. Za morzem ognia szedł zawsze straszny potop rozpusty, w którego odmętach marniała do reszty ludzkość na ciele i na duszy.

I dziś nie inaczej się dzieje. Z dnia na dzień mnożą się wieści o najobrzydliwszych wypadkach rozpusty. Sale rozpraw sądowych coraz częściej muszą być zamykane, gdyż ohyda zbrodni rozpusty tam omawianej musi gorszyć każdego. Szpitale i cmentarze zapełniają się coraz liczniejszemi ofiarami rozpusty. Czego nie pochłonie wojna, to pożera rozpusta. Najdzielniejsze jednostki marnieją i przepadają w swej żywotności dla narodu.

A ten naród o odrodzeniu marzy. Leje strugi krwi w zmaganiu się z wrogiem, poświęca dorobek całych wieków i o swe prawa słusznie u świata się upomina i do nowego życia się zrywa, a równocześnie, w tym zarodku jeszcze samobójczo się truje, pławiąc się w rozpuście. Straszna to zbrodnia, zbrodnia wobec własnego narodu spełniana.

Naród, to wielka rzecz. Narody potężne, silne duchem, a zdrowe ciałem są niezwyciężone, jak tego przykład mamy w dzisiejszej wojnie na Niemcach, u których prawo nie pozwala na tak zwane „domy rozpusty“, a każdy tego rodzaju występek bardzo surowo karze. Kto kocha prawdziwie swój naród, ten o zdrowie ducha i ciała swego narodu dbać musi. Każdy naród dzieli się swą chwałą narodową, dzieli się wszystkimi skarbami ducha, przez wiekowy rozwój zdobytymi; proste zatem uczucie wdzięczności kładzie za to obowiązek na wszystkich, którzy poczuwają się do jedności danego narodu, aby w niczem tego narodu ani duchowo, ani cieleśnie nie osłabiać.

A któryż występek bardziej truje i zabija ducha i ciało narodów, jeśli nie występek rozpusty? Że rozpustą giną jednostki, ale giną i narody całe, świadczy o tem historya sama. Któryż naród w historyi był potężniejszym od narodu rzymskiego? — Obszar państwa rzymskiego sięgał od morza do morza. Wszechwładny miecz rzymski nie znał nigdzie oporu. Szeroko rozpostarte skrzydła orła rzymskiego obejmowały blisko pół ówczesnego świata.

I cóż się stało? Ten olbrzym rzymski upadł i zmarniał. Kto był ten, który miecz zabójczy położył na gardle rzymskiego narodu? Odpowiada na to pytanie własny ich poeta rzymski Horacyusz, który na grobie państwa rzymskiego taki położył napis: „Luxuria incubuit“, to jest: „rozpusta powstała“. Rozpotarta, wkradła się do duszy rzymskiej. Ona skaziła szlachetną i waleczną dawniej duszę rzymską, ona zgryzła zdrowy i silny organizm narodu rzymskiego, wyssała zeń soki żywotne, ona zgotowała grób dla wielkiego i potężnego narodu.

Na naród rzymski uczyniły najazd inne silniejsze duchem i ciałem ludy i sprawiały mu pogrzeb i zgubę. Rzymianin, jak długo pracował na roli, jak długo twarde prowadził życie i pilnował świętości domowego ogniska, tak długo miał siły i żadne potęgi ludzkie nie zdołały pokonać Rzymianina. Dopiero, gdy rozwięzłość zakradła się do serc rzymskich, naród utracił siły. I zginął marnie. Dziś tylko szczątki ruin świadczą o jego minionej wielkości.

A nasz naród?

I nasz naród był niegdyś potężny i świetny. Pomniki dawnej chwały naszej podziś dzień jeszcze głoszą dawną wielkość Polski. A dziś co? Naród niewolny, uciskany, wyzyskiwany od wszystkich, istne popychadło pośród innych narodów. Cóż sprowadziło na Polskę ten straszny upadek? Wiele nieszczęść i wiele przyczyn. Ale jedną z głównych przyczyn była także i ta, co w gruzy rozsypała gmach państwa rzymskiego. I u nas rozwielmożniła się rozpusta. Bankiety, hulatyka i rozpusta z czasów królów saskich, weszła nawet w przysłowie: „Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa“. Ostatni z królów polskich, Stanisław August Poniatowski, stał się narzędziem w ręku niecnej carowej Katarzyny, osławionej cudzołożnicy. A „jaki pan, taki kram“. Za jego czasów Warszawa tonęła w rozpuście, a w tem jednem tylko mieście było naówczas z powodu rozpusty więcej rozwodów, niż na całym świecie.

I taki naród, który do niedawna trząsł całą Europą, a w rycerskiej sile nie miał sobie równego, poszedł w niewolę. Zażarła go rozpusta.

Wie o tem wróg nasz. On też bezwstydnemi pismami, namowami, zbrodniczemi stręczeniami szczepi w nas tę straszną zarazę. W tej niecnej robocie nigdy nie ustawał, a najgorliwszym stał się obecnie, gdy się ważą losy narodu i korzysta z rozdziału męża z żoną przez wojnę, żołnierskiej swobody młodzieńca i opuszczenia dziewczyny i wszędzie się wciska ze straszną trucizną. A naród niebaczny ulega tym podnietom i zabija sam siebie. Szerzą się straszne zarazy ciała, opada duch i zdolność życiowa... Narodzie ratuj się! Precz z rozpustą, bo to straszna zbrodnia narodowa!

Uboga oblubienica.

Trzej przyjaciele — panowie już nie młodzi — siedzieli raz we środę wieczór przy szklance piwa i mówili o wypadkach dziennych. Mianowicie opowiadano o pewnym urzędniku, który został skazany na więzienie za t. zw. defraudacyę, czyli poprostu za kradzież powierzonych sobie pieniędzy.

— Jego niegodziwa żona, ta rozrzutnica, która nic nie wniosła, tylko majątek męża trwoniła, temu winna! — zawołał jeden.

— To prawda: on się tylko dla piękności z tą dziewczyną ożenił, teraz ma za to zapłatę. Samochcąc przychodzi mi na myśl: kto sieje na ciele, zbierać będzie zgubę — rzekł drugi.

— Wogóle nie powinien się nikt żenić z dziewczyną, która nic nie posiada — mówił z udanem oburzeniem trzeci: — i żadna panna nie powinna myśleć o zamężciu, która nie ma majątku.

— Hm, to trudno, co ty mówisz, ale nie masz tak wielkiej niesłuszności: — odparł pierwszy. — Te małżeństwa z tak zwanej szczerej miłości nic nie warte: trzeba i fundamentu, aby można żyć. A nierówność zwyczajnie nie dobra; oboje powinni mieć jednaki majątek, jedno nie powinno u drugiego żebrać i być na łasce drugiego, bo to na zawsze niszczy zgodę.

Uśmiechając się słuchał trzeci tych wywodów. Teraz rzekł:

— Ja także myślę, że wiele w tem prawdy, co mówicie. Ale, jak to mówią nie trzeba z kąpielą i dziecka wylewać. Ja twierdzę, że są żony, które zaledwie kilkaset reńskich mają posagu, a nawet i tego nieraz nie mają, a jednak mężowie nie daliby ich za córki milionerów. U męża, którego obowiązkiem jest wyżywić rodzinę, główną rzeczą jest stanowisko, powołanie, sposób zarobkowania, chociaż i u niego fundamentem być powinien charakter chrześcijański: ale u oblubienicy, którą sobie mężczyzna wybiera, pierwszym warunkiem jest cnota, zalety chrześcijańskiej niewiasty, gospodarność i inne z nią połączone przymioty, gdzie to się znajduje, tam dobrze pójdzie, ale gdzie tego braknie, tam pieniądz ani szczęścia, ani wewnętrznej pociechy i zadowolenia, ani miłości nie zrodzi.

— Ta to całe kazanie! — zauważył pierwszy z przyjaciół; — możnaby sądzić, żeś sam tego doświadczył.

— Dobrze mówisz, sam doświadczyłem.

— Ty? więc twoja żona była...

— Tak jest, była bardzo uboga, gdy za mnie wyszła; nie została też bogatą dziedziczką, a ja pojąłem ją jako lekarz jeszcze w początkach mej praktyki i doprawdy do dziś dnia nigdy tego nie żałowałem.

— To musi być zajmująca historya — rzekł tamten; — na twoje zdrowie doktorze; opowiedz nam historyę o ubogiej oblubienicy!

— Historya to bardzo prosta, wcale na romans się nie nadaje — rzekł doktór; — mogę wam wszystko opowiedzieć.

I tak zaczął:

— Raz wieczór, w listopadzie, szedłem przez jednę z najludniejszych naszych ulic. Stanąłem przed wystawą jasno oświeconą, chcąc się przypatrzyć jakiemuś obrazowi, gdy nagle uczułem, że mnie ktoś lekko szarpnął za palto. Obróciłem się chcąc wiedzieć kto mnie szarpnął i spostrzegłem małego chłopca, koło mnie stojącego. Bose jego nogi były czerwone i sine od zimna; odzież choć nie brudna, ale wyszarzała i wytarta. Gdym na jego piękne rysy spoglądał, jakiś głos mówił mi, że to nie zwyczajny żebrak, a gdy spojrzał na mnie trwożliwie jasnemi oczyma swemi, żywo zainteresowałem się chłopczyną. Gdy spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem, spostrzegłem, jak usta jego drżały, a policzki oblały się ciemnym rumieńcem.

Położyłem rękę na jego główce i rzekłem tonem najłagodniejszym:

— No drogi chłopcze, ino nie płacz tak gorżko, powiedz mi raczej, co ci dolega.

— Zdawało się, że moje słowa ośmieliły go nieco, ale musiałem go jeszcze raz zapytać, aby go skłonić do mówienia.

— Ach panie — rzekł nareszcie — mama moja już tak dawno, dawno chora, a teraz znowu Marynia zachorowała i nie może szyć; nie mamy ognia ani chleba i dlatego wyszedłem, aby...

Głos mu zamarł na ustach, ze wstydu odwrócił zarumienioną twarz swoją.

— Więc to jest? — zapytałem, gdy spostrzegłem, jak się wahał wymówić słowo: „żebrać“ — zaprowadź mnie do waszego mieszkania, będę może mógł twej matce i siostrze pomódz: ja jestem lekarzem.

Twarz chłopca rozjaśniła się i rzekł:

— Mogę pana zaprowadzić, ale u nas bardzo ubogo i...

Prowadził mnie przez wiele wązkich i brudnych ulic, aż wreszcie stanęliśmy przed małym, nędznym domkiem.

— Tu mieszkamy — rzekł i chciał już drzwi otwierać, gdym mu kazał w pobliskim sklepiku zakupić żywności, węgla i świecę, a sam czekałem na ulicy.

Już za kilka minut powrócił z koszem. Weszliśmy do ciemnej sieni i tu zaświeciłem świecę; potem po wązkich i stromych schodach weszliśmy na górę, on drzwi otworzył i zawołał głośno:

— O mamo, Pan Bóg jest dobry, jak dziś rano mówiłaś; patrz, co ja tu przyniósł; teraz i ty Maryniu z pewnością będziesz zdrowa!

Matka leżała na nędznem łóżku w kącie izby; rysy jej twarzy nosiły ślady długich i ciężkich cierpień. Marynia siostra siedziała oparta na fotelu przy łóżku. Twarz jej była blada i zmęczona, ale widać było z jej oczu i całego obejścia niewinność i staranne wychowanie.

— Nie wątpię — rzekła matka słabym, drżącym głosem — że za łaską Bożą panu mamy tę pomoc w potrzebie zawdzięczyć.

— Tak mamo — rzekł chłopczyk — ten pan wszystko zrobił, on i ciebie i Marynię uleczy.

Przystąpiłem do łoża matki i prosiłem, by o tem nie wspominała, oświadczyłem, że jestem lekarzem i ofiarowałem jej i córce swoje usługi.

Matka podziękowała za mą usłużność i mówiła, że jej choroba niewiele znaczy i raczej jest skutkiem niedostatku.

— Ale z moją biedną dziewczyną — mówiła, wskazując na córkę — zdaje się jest gorzej. Ponad siły się natężyła i ciężko zachorowała; ona to przedewszystkiem pańskiej opieki potrzebować będzie.

Przystąpiłem do córki, wziąłem za puls, był powolny i słaby i przekonałem się, że jedyną przyczyną jej słabości był brak dobrego odżywiania się. Biedna dziewczyna odmawiała sobie najpotrzebniejszego posiłku, aby matce i bratu dogodzić, aż wreszcie siły ją zupełnie opuściły.

Wyszedłem oświadczając, że za dwie godziny przyjdę znowu z lekarstwami. Jakoż powróciłem wkrótce z kilkoma flaszkami wina, gdyż to było najlepszem dla nich lekarstwem.

Izba już inaczej się przedstawiała. W piecu się paliło, chłopczyk krzątał się ochoczo, bo już nie był głodny, a na twarzach obojga chorych zajaśniał promyk nadziei. Dawszy im przepisy co do używania lekarstw i zalecając by sobie wina nie żałowały, odszedłem obiecując, że jutro się dowiem znowu i starać się będę o ich potrzeby.

Wkrótce też matka i córka przyszły do zupełnego zdrowia, zabiegom moim udało się dla nich stosowne i korzystne znaleźć zajęcie. Aby się na nowo i wygodnie mogły urządzić, pożyczyłem im małą sumkę i jak się przekonałem najlepiej została użytą.

Już sześć tygodni minęło, moje pacyentki nie potrzebowały mojej pomocy, a ja jednak odwiedzałem je

codzień. Po niejakim czasie, poznawszy cnotę i pracowitość Maryi, prosiłem o jej rękę. Matka rzekła:

— Serce pańskie jest zacne i dobre, ale i Marya stała się godną pana przez to, co dla mnie uczyniła. Szczęście zabłysło dla mnie na stare lata i prosić będę Wszechmocnego, aby was oboje błogosławił.

W kilka miesięcy odbył się ślub, a teraz po upływie wielu lat pełnych nigdy niezamąconego szczęścia, mogę wyznać, iż ta uboga oblubienica stała mi się wszystkiem na ziemi.

Ze wzruszeniem słuchali przyjaciele tego opowiadania, i trącili się szklankami. Po małej przerwie rzekł jeden z nich:

— Doktorze, nie dziw, żeś ty się tak szczęśliwie ożenił, pomimo ubóstwa twej małżonki; boś ty był zawsze dobrym chłopakiem; inaczej być nie może.

A drugi dodał:

— I poznałeś ją na drodze dobrego uczynku, a Bóg płaci szczerem złotem.

— Tak jest. Od Niego błogosławieństwo i szczęście każdego małżeństwa zawisło i od Niego jedynie — tak będzie na wieki — dokończył doktór.

Żony, matki o czem wy piszecie do żołnierzy?

Smutna to jest rozłąka między najdroższymi, którą powoduje wojna. Serce się kraje żołnierzowi, gdy ma pożegnać ojca, matkę, żonę, dzieci, znajomych! Ale musi wszystko porzucić, bo twardy obowiązek woła go gdzieindziej.

Ale zato kto wypowie, ile to pociechy jest w domu, jak od żołnierza przyjdzie z pola list lub karteczka! Wszyscy się cieszą, bo wiedzą, że pisze, że żyje! A jak to smutno, gdy przez dłuższy czas żadna wiadomość z frontu nie przychodzi.

Dzisiaj istnieje dobry wynalazek, poczta polowa: „feldpost“, jak ją nazywają. Bez wielkich trudności można się łatwo z żołnierzami na froncie porozumieć. Piszą więc z domu do żołnierzy i oni też cieszą się temi wiadomościami!

Żony, matki o czem też piszecie do synów i mężów na wojnie! Oj, nieraz czytałem takie listy. Piszecie, jakie są urodzaje, jakie były żniwa, opisujecie wszystko dokładnie o gospodarstwie, o dzieciach itd. itd.

Niestety, o jednej ważnej rzeczy zapominacie! Wy nie pamiętacie, a właściwie nie chcecie pamiętać, że żołnierzom ciągle na polu śmierć grozi! Więc o jednej rzeczy powinniście żołnierzom ciągle w listach przypominać, mianowicie o zbawieniu duszy.

Matki, żony, piszcie więc do waszych żołnierzy o tem, ażeby zawsze pamiętali o Bogu, ażeby odmawiali zawsze rano i wieczór pacierz, ażeby nie kradli i nie robili nikomu żadnej szkody i krzywdy, ażeby strzegli się każdego śmiertelnego grzechu, a zwłaszcza grzechu nieczystego, ażeby żyli między sobą w zgodzie i miłości, ażeby korzystali z każdej sposobności i przystępowali do spowiedzi świętej u swoich kapelanów itd.

O tem więc piszcie do żołnierzy i to im przypominajcie! Gdy będziecie o tem też pisać, to wasze listy będą najpiękniejsze!

Nieraz też posyłacie żołnierzom różne pakunki z podarunkami, z tytoniem, z bielizną! Bardzo pięknie! Ale dołóżcie też książeczkę do nabożeństwa, obrazek pobożny, medalik, różaniec, szkaplerz! Będzie to również miła pamiątka dla żołnierzy.

Oj, bo niejednemu żołnierzowi okropnie się przykrzy bez kościoła, bez nabożeństwa! Gdy sobie wspomni o kościele, to aż łzy mu z oczu płyną! Niejeden to dobrze czuje, że zdziczał na wojnie! Gdy więc wy będziecie w waszych listach przypominać żołnierzom Boga, modlitwę, sprawę zbawienia duszy, o, to bądźcie przekonani, że oni wam będą bardzo wdzięczni za to. Brak słowa Bożego głoszonego w kościołach zastąpi im słowo Boże, pisane w waszych listach.

Która z nich najszczęśliwsza?

W N. parafii nad Renem mieszkają w sąsiedztwie trzy wieśniacze rodziny. W tych trzech rodzinach były trzy córki: Anna, Elżbieta i Agnieszka. W dziecinnych latach łączyła je szczera przyjaźń; chodziły razem do kościoła, do szkoły i obcowały ze sobą jak najpoufalej.

Skoro jednak wyszły ze szkół, powoli zaczęła ich przyjaźń ziębnąć, aż przeszła w zupełne zobojętnienie, a nawet niechęć. Anna i Elżbieta powoli zaczęły gonić za zabawami i chciały „użyć świata, póki służą lata“. Gdy więc tylko jakabądź zabawa odbywała się we wsi, Anna i Elżbieta zawsze tam być musiały; Agnieszka zaś, będąc w szkole jedną z najlepszych dziewcząt, została wierną zasadom, jakie jej poczciwi rodzice wszczepili; osobliwie zaś nie uczęszczała na zabawy tańcujące. Nawet po roku służby powróciła do domu tak poczciwą i dobrą, jak była przedtem; skromna w odzieniu, pobożna i cnotliwa, i teraz jeszcze nie bywała na tańcach.

Tymczasem jej dawne przyjaciółki, Anna i Elżbieta także poszły na służbę — do hotelu — a powróciwszy, starały się strojami i wielkomiejskiemi manierami nad inne swe wiejskie rówieśnice wynieść. Nieraz spotkawszy Agnieszkę, nazywały ją „głupią“, że młodych swych lat tak użyć nie umie, a mianowicie prześladowały ją za to, że nie bywa na tańcach.

— W ten sposób — mówiły jej raz — nigdy za mąż nie wyjdziesz.

— No — zwykła była odpowiadać — czy wyjdę za mąż, to sam Pan Bóg wie, w każdym razie z karczmy męża nie wezmę, ani z tańców.

Zaledwie Agnieszka wybyła rok w domu, gdy jeden z najbogatszych i najuczciwszych synów kmiecych prosił o jej rękę. Agnieszka wyszła za mąż, a małżeństwo to było bardzo szczęśliwe.

Anna zaś i Elżbieta nie przestały szukać zabaw i rozrywek, a zwłaszcza w tańcu, by tym sposobem dostać męża.

Annie się nie udało; nikt o nią się nei starał i dotąd żyje jeszcze w domu rodzicielskim, niezadowolona z siebie i ze świata, cały dom ma z nią istny krzyż Pański.

Elżbieta znalazła sobie wprawdzie męża, ale takiego, że cała wieś się zdumiała, że ona taka „pani“ wyszła za tak lekkomyślnego człowieka, który nie daje żadnej rękojmi utrzymania. Jakoż istotnie małżeństwo to stało się bardzo nieszczęśliwe: mąż pijak, gracz i niepoń pierwszej klasy, Elżbieta niewymownie nieszczęśliwa, zwłaszcza, że coraz więcej wpadali w ubóstwo i nędzę.

Przykład to odstraszający. Złote są słowa Agnieszki:

„Z karczmy i tańców męża sobie nie wezmę“.

Modlitwa Polesiuka.

Dawnemi czasy żył na poleskich bagnach samotny człowiek. Nie znał ludzi i nie znał Boga. Od dzieciństwa żył dziko w lasach. Nie miał ojca, ani matki, a żywił się tem, co w borze urosło. Kiedy go rano budził świergot ptasząt, wstawał i patrzał. I widział, jak nad nim przez zielone konary drzew przedzierały się złote blaski słońca, widział, jak kwiatki podnosiły ze snu główki i wdzięcznie pozierały ku niebu, jak chyliły się, jakby w pokłonie drzewa pod lekkim powiewem wiatru, słyszał szmer srebrzystego strumienia i rozgłośny śpiew różnorodnego ptactwa, a to wszystko zlewało się w jego duszy, zlewało się w jakąś pieśń i szukało wyrazu na zewnątrz. Biedny Polesiuk rozumiał w tem wszystkiem dziękczynną modlitwę do swego Stwórcy i sam chciał tę modlitwę wyrazić, ale, biedny, nie umiał.

Nie miał biedak matki, któraby mu ręce do pacierza złożyła, krzyżem św. przeżegnała i Boga imieniem nazwała. A jednak chciał się modlić koniecznie. Więcej odczuł, niż zrozumiał w opuszczeniu swojem, że jest ktoś Wielki i Potężny, kto słońcu świecić, a ptaszętom śpiewać kazał, kto ten bór bezmierny posiał, kwieciem umaił i srebrzystą wstęgą strumienia opasał i do tego „Wielkiego“ modlić się pragnął, choć nie wiedział, że ten wielki Stwórca wszech rzeczy Bogiem się nazywał.

Nie umiał jednak pacierza i na swój sposób modlić się począł.

Skakał pośród moczarów z jednej kępy drzew na drugą i mówił: „To mnie— a to Tobie Wielki Panie, coś to wszystko stworzył!“

Modlił się, jak umiał, a Bóg modlitwy jego słuchał i wdzięcznie ją przyjmował.

Człowiek modlić się musi, bo tak mu już Bóg serce usposobił. Cała przyroda modli się do Boga, bo „kiedy ranne wstają zorze, Bogu ziemia, Bogu morze, Bogu śpiewa żywioł wszelki, „Bądź pochwalon Boże wielki“.

Ale ta modlitwa żywiołu, to niema, modlitwa bez rozumienia. Za całą przyrodę musi się modlić człowiek, bo jego Bóg uczynił królem ziemi i dał mu rozum i serce czujące. Każdy więc człowiek staje jakby kapłan niemej przyrody w obliczu Boga i tłumaczy rozumnemi słowy modlitwę żywiołu, co idzie z szumu lasu, blasku gwiazd, kwilenia ptasząt, wdzięku kwiecia i wszystkiego, co Bóg stworzył.

Papieże i wojna.

W wieku V panował w całej niemal Europie straszny zamęt. Wszędzie zjawiają się różni dzicy najeźdźcy, którzy pustoszą i niszczą najwięcej kwitnące krainy. Alani, Swewowie, Wandale i Wizygoci wdzierają się do Gallii, Hiszpanii i rzymskich dziedzin, niosąc zagładę panowaniu prawowitych władców i wierze chrześcijańskiej.

Najgroźniejszymi ze wszystkich byli Hunnowie, którzy przybywszy z głębi Azyi, posuwali się pod wodzą swego króla Atyli wzdłuż rzeki Wołgi, Donu i Dunaju coraz bardziej w głąb Europy. Z wiosną r. 451 wyruszył Atyla na czele siedmkroćstotysięcy ludzi z Panonii, zagarnął w swym pochodzie Alemanów i inne ludy, splądrował i zburzył miasta Trewir, Moguncyę, Wormacyę, Spirę, Strassburg i Metz. Pod Chalons nad rzeką Marną stoczył morderczą, lecz nierozstrzygniętą bitwę z Rzymianami, Wizygotami i ich sprzymierzeńcami. Biskupowi Lupusowi z Troyes udało się wtedy skłonić barbarzyńskiego króla do odwrotu.

W następnym roku jednak skierował się Atyla ku Włochom, oblegl miasto Akwileję, a zdobywszy, obrócił je w perzynę. Wówczas to wielu mieszkańców północn. Włoch schroniło się na niezamieszkałe wysepki na morzu Adryatyckiem i założyło na nich rozwijające się potem szybko miasto Wenecyę.

Tymczasem król Hunów posuwał się szybko ku Wicenzyi, Padwie, Weronie i Medyolanowi i gotował się już do zdobycia szturmem Rzymu.

Przed dzikim najeźdźcą szły straszne wieści. Zwano go „Biczem Bożym“ i opowiadano sobie, że gdzie jeno przejedzie, tam nawet trawa potem nie rośnie. Zadrżeli Rzymianie przed strasznym wojownikiem, który już „pięćset miast spalił“, jak sobie mówiono. Cesarz i lud bezradni i pełni trwogi czekali okropnego losu swych sąsiadów.

Na stolicy Piotrowej zasiadał wówczas Papież Leon Wielki, tak nazwany dla nadzwyczajnej pobożności, niezmordowanej nigdy gorliwości i wielkiego męstwa. Strwożony cesarz Walentynian udał się do wielkiego Papieża po radę i rzekł:

— Ojcze mój, wszyscy mnie opuszczają i pierzchają. I jakżeż stawię opór Atyli, który się chełpi z tego, iż go zowią „Biczem Bożym“. Jeżeli to prawda, iż go Bóg wzbudził w gniewie swoim na pokaranie grzesznych, ty jeden, ojcze święty możesz odwrócić od nas straszną klęskę. Wyjdź doń, nasz ojcze i wstaw się za nami. Wszak tylekroć sam uczyłeś, iż czasu niedoli pasterz jest najlepszą ucieczką dla swej owczarni!

— Spodziewam się wkrótce dowodnie stwierdzić prawdę słów moich — odrzekł Papież. Nie troszczcie się o moje życie: Bóg jest jego panem, a tak nic złego spotkać mię nie może.

Po tej rozmowie udał się Ojciec święty do obozu Atyli.

Nadzwyczajna świętość, jaką tchnęła postać wielkiego Papieża snać nadzwyczajne musiała zrobić wrażenie na dzikim władcy Wschodu.

— Nie wiem zaliś człek, zaliś anioł z nieba, starcze! — rzekł Atyla. — Ale wracaj spokojny do domu. Twój Bóg, którego kapłanem jesteś, mnie niezwyciężonego zwyciężył. Rzymu dobywać nie będę!

Papież Leon wrócił z radosną wieścią do Rzymu. Cesarz i lud ze łzami dziękowali świętemu starcowi za ocalenie.

Atyla opuścił Włochy i zawrócił do Galii; zmarł jednak podczas tej wyprawy. Ze śmiercią zaś jego upadła potęga Hunów na zawsze. Wszczęły się u nich wewnętrzne niesnaski, z czego skorzystały niektóre ujarzmione ludy, aby się wybić na wolność.

I w dzisiejszym zamęcie wojennym, który jest podobną do owej „wędrówką ludów“, a jeszcze większe niesie zniszczenie, ojciec chrześcijaństwa Papież Benedykt XV. parokrotnie zwracał się do wojujących władców ze słowem pokoju. Ojcowskie serce Papieża bardzo boleje nad strasznym rozlewem krwi i pustoszeniem kwitnących krajów i wciąż woła: „pokój, pokój — a niemasz pokoju“.

Dziki władca Hunów posłuchał głosu Chrystusowego namiestnika, a dzisiejsi, jaśniejący oświatą władcy, posłuchać nie chcą. Snać oświata bez Boga nie odejmuje dzikości serca.

Chrześcijańskie męstwo a wojna.

Cnotę mężnego znoszenia wszelkich przeciwności wysoko sobie cenili już poganie. Skoro Ksenofont, wódz grecki posłyszał, iż syn jego padł w bitwie, zapytał gońców:

„Czy syn mój dzielnie walczył?"

„O tak — odpowiedzieli — bronił się przemocy, jak lew — i poległ pełen chwały".

„Nie prosiłem nigdy bogów o to, by syn mój był nieśmiertelnym, tylko o to, by był mężem cnotliwym. Bogowie wysłuchali snać próśb moich i jestem spokojny".

Tak mówił poganin; potomność jednak oceniła w nim wielką cnotę męstwa. Ksenofonta, który ze spokojem zniósł wiadomość o śmierci syna uznano za większego bohatera, niż walecznego młodzieńca, który wolał poledz, niż ustąpić.

Rzadkie jednak były objawy tej cnoty w pogaństwie, nie znajdowała ona tam bowiem oparcia w religii, a same siły ludzkie na nią nie starczyły.

Męstwo zapoznać musi wszystkie ziemskie doczesne sprawy; dla „mężnej" duszy za nic są wszelakie cierpienia i nieszczęścia, a nawet śmierć sama; męstwo nie lęka się niczego i obcą mu jest wszelaka bojaźń, prócz bojaźni Bożej; człowiek mężny gotów jest wszystko przenieść, byle jeno obowiązku dokonać; a tym najwyższym obowiązkiem dla niego to zbawienie duszy i chwała Boża.

Męstwo chrześcijańskie nie polega więc bynajmniej na pełnieniu śmiałych czynów przyrodzonej odwagi, ani też wzburzonej namiętności i niema żadnej doczesnej korzyści na względzie. Zarodem tej cnoty jest łaska Boża, a celem Bóg. Stąd ta cnota dopiero w chrześcijaństwie znalazła swój najwyższy wyraz. Krocie tysięcy chrześcijańskich męczenników i wyznawców wprawiało w zdumienie cały świat dla nadludzkiego męstwa, jakie okazywali czy to w męczeńskiej śmierci, czy też w wyznawczem, pełnem cnót życiu.

Gdy świętego Ignacego ćwiartowano, święty męczennik tak mówił przy odrębywaniu każdego członka:

„Idź ręko, idź nogo, pójdziesz i ty głowo — i w proch się rozsypiecie, ale nadejdzie dzień, w którym moc Boża znowu was złączy i stanę żywy w ciele swojem".

Tak mówić mógł tylko chrześcijanin, który wierzył w sprawiedliwość Bożą i chwałę chrześcijaństwa dla męczeństwa.

Poganin zamilkłby wtedy; dla niego bowiem wszystko się kończyło ze śmiercią. Zrządzenie strasznego „fatum", czyli przeznaczenia, któremu według pogańskich wierzeń każdy uledz musiał, było ostatnim wyrazem wszystkiego. Na nic się tam zdały wszelkie wysiłki woli ludzkiej. Owo „przeznaczenie" było nieubłagalne i niepokonalne. To też mędrcy pogańscy zalecali w ostatecznych wypadkach spokój. Ksenofonta uznano bohaterem, bo zachował spokój na wieść o śmierci syna.

Chrześcijańskie męstwo jednak daleko wyżej sięga. Ono nie ogranicza się na zachowaniu jedynie spokoju w niedoli. W najstraszniejszem nieszczęściu wybucha ono nawet radością.

Gdy w r. 1241 straszna ćma Tatarów wdarła się w granice Polski i zapuściła swe zagony aż pod Legnicę, paląc, mordując i niszcząc wszystko po drodze stanęła przeciw dzikiej hordzie św. Jadwiga śląska. Wielkością chrześcijańskiego serca zjednała skłóconych między sobą książąt piastowskiej dziedziny i sprawiła opór i zwycięstwo. Dokonała jednak tego wielką ofiarą, bo ofiarą macierzyńskiego serca. W bitwie z Tatarami pod Lignicą padł syn jej, Henryk. Skoro jednak dano jej znać o tem, świątobliwa księżna padła na kolana i zawołała:

„Dzięki ci Boże, żeś mi dał takiego syna, który poległ za wiarę i ojczyznę!"

Pogański bohater na podobną wieść zachował jedynie spokój, chrześcijańska matka zaś, śpiewa Bogu pieśń dziękczynienia. Tak! Wszak jej męstwo ma swe źródło w Bogu i Bogu syna poświęciła. A któż, jak Bóg?

Takie sprawy i dziś się słyszy z ust chrześcijańskich. Pewien młody żołnierz tak pisze do swych rodziców:

„Muszę się z wami podzielić wiadomością, że P. Bóg, bez którego woli włos nie spada z głowy zesłał i na mnie doświadczenie; taka była Jego wola najświętsza. Kochana Matko! Pomyśl, co Matka Najśw. cierpiała o Swego Syna, gdy umarł za nas na Krzyżu. Tyle ja nie ucierpiałem. Wobec tych mąk ja jestem tylko lekko ranny. W przeszłą niedzielę odstrzelono mi lewe przedramię. Kochani rodzice! Smuciłbym się, gdybyście wylali choć jedną łzę o waszego syna... Wczoraj raz jeszcze odprawiłem spowiedź z całego życia i przyjąłem Komunię św. i ostatnie namaszczenie. Mogłem był śmiało umierać, ale P. Bóg chce zapewne, abym znów do was powrócił. (Köln. Volks. 823, 14).

Oto znów bohater chrześcijański pełen męstwa, który straszne kalectwo przyjmuje ze spokojem, jako dopust Boży, lekceważy sobie cierpienie, a na śmierć „śmiało" patrzy.

Takich przykładów wiele, wiele przytoczyć by można. A wszędzie tu owo męstwo największe, gdzie wiara najgorętsza. W wierze św. bowiem ma męstwo swe źródło i cel ostateczny.

Wojenna pożoga najdotkliwiej nawiedziła Polskę. Spłonęły wsi i miasta, zmarniał dobytek, a na pogorzeliskach ostały się jeno sieroty i wdowy. Obcy łamią ze współczuciem ręce nad tą niedolą. A ten polski naród dziwnie spokojny jakoś. Nie wyrzeka i nie rozpacza, ale powtarzając za Jobem: „Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie Imię Jego błogosławione" nowej pracy ku odbudowie rzeźko się ima. Zaiste „mężny" to naród, mężny, bo chrześcijański — a taki nie zginie.

Salezyańska Szkoła organistów w Przemyślu.

Do spraw, które od szeregu lat czekają pomyślnego załatwienia, należy bez wątpienia sprawa organistów w Galicyi. Wszystkim znane są skargi i żale podnoszone przez naszych organistów z powodu smutnego położenia materyalnego, w jakiem się często znajdują, jak niemniej zabiegi i starania, poczynione celem rozwiązania tej sprawy przez osoby wpływowe, a przedewszystkiem przez Najprz. naszych Arcypasterzy. A pisano o tej sprawie obszernie w różnych czasopismach, rozprawiano na zjazdach dekanalnych i synodach dyecezyalnych, konsystorze biskupie wydawały rozmaite rozporządzenia, organiści sami poruszyli wszystkie sprężyny u władz krajowych i rządowych, aby polepszyć swój byt materyalny; lecz niestety wszystkie te zabiegi zostały dotąd prawie bez skutku.

Wobec tego trzeba dojść do przekonania, że zupełna sanacya tych stosunków jest na razie rzeczą niemożliwą, i chcąc bodaj polepszyć położenie organistów, niema innego wyjścia, jak dać im możliwość powiększenia szczupłych swych dochodów przez uboczne zajęcie. Zrodziła się tedy myśl stworzenia nowego typu szkoły dla organistów, któraby obok wykształcenia zawodowego udzielała kandydatom zgodnego z ich powołaniem wykształcenia praktycznego. Jeżeli do tego dodamy podstawę wszelkiego zadowolenia, tj. wychowanie głęboko religijne, to można żywić uzasadnioną nadzieję, że szkoła taka rozwiąże kwestyę organistów w sposób możliwie najlepszy.

Trudnego tego zadania podjęło się Zgromadzenie Salezyańskie. Niejednokrotnie już zwracano się w tej sprawie do przełożonego Zgromadzenia, a w ostatnim czasie uczynił to z większym naciskiem Najprzew. X. Biskup Seb. Pelczar. Po zasięgnięciu rady i otrzymaniu nietylko przychylnego zezwolenia, ale i gorącej zachęty wszystkich Najprzew. XX. Biskupów galicyjskich, zdecydowali się XX. Salezyanie przystąpić, i to już w tym roku, do otwarcia w mowie będącej szkoły, obierając jej za siedzibę Przemyśl, gdzie już istnieje zakład Salezyański, i dokąd wygodniej udawać się mogą kandydaci z całego kraju.

XX. Salezyanie, przykładając rękę do tego nowego dzieła, zdają sobie zupełnie sprawę z trudności, na jakie napotkają, tak w przeprowadzeniu zamierzonego planu nauki, jak i w wyposażeniu szkoły w potrzebne środki naukowe i wyżywienie uczni w czasach ogólnej drożyzny, nie mówiąc już o innych trudnościach różnego rodzaju, na które każde nowopowstające dzieło przygotowane być musi.

XX. Salezyanie, nie oznaczają wysokości opłaty na utrzymanie, ale stosując się do zasady swego założyciela X. Bosko, że „nie jest słusznem, by korzystał z cudzej dobroczynności, kto coś własnego posiada“, wymagać będą pokrycia wszystkich kosztów utrzymania od tych, którzy będą w stanie to uczynić; biednym zaś będzie się czyniło ustępstwa w miarę potrzeby i możliwości. Ponieważ, jak wiadomo, Zakład żadnych funduszów nie posiada, przeto XX. Salezyanie, ufając w Opatrzność Boską, liczą zarazem na dobroczynność społeczeństwa, w szczególności tych, którym rozwiązanie kwestyi organistów leży najwięcej na sercu. Przyjść można z pomocą nowemu dziełu datkiem pieniężnym, fundowaniem stypendyów na utrzymanie ubogich uczni, darami w naturze, oddaniem na własność szkoły chociażby używanych, ale jeszcze w dobrym stanie będących instrumentów muzycznych (fortepianów, fisharmonii, skrzypiec i t. d.), jak niemniej przysparzaniem temu dziełu przyjaciół i zwolenników. Za te jak i za wszelkie inne przysługi i pomoc będą XX. Salezyanie jak najmocniej zobowiązani.

Adres: Salezyańska Szkoła organistów, Przemyśl, Zasanie.

Pociecha w czasach wojennych.

Bóg patrzy z nieba na ziemię i widzi wszystko, co się na niej dzieje. Widzi i jeśli wyrazić się tak można, boleje nad tem co widzi. Widzi całą tę nędzę, jaką wojna ze sobą przyniosła, słyszy westchnienia i jęki rannych na polu bitwy i w rowach strzeleckich; widzi latawce szybujące w powietrzu, przenika głębie morskie i śledzi łodzie podwodne; pojmuje i rozumie wszystkie bole, udręki, poświęcenia i ofiary naszych żołnierzy; widzi niedolę emigrujących i łzy tych, co stracili ojca, brata lub syna. Widzi te tłumy biedaków zgromadzone przed sklepem i wołające chleba; widzi, bo nic nie ujdzie przed Jego okiem. Słyszy wzdychania i modlitwę więźniów gnanych na Sybir i na pustynie Tunisu i Algieru. Widzi Bóg i wie wszystko! Żaden wróbelek z dachu, żaden włos z głowy nam nie spadnie, ażeby nie widział tego Bóg, nasz Ojciec wszechmocny i dobry! Tego nas uczy wiara i tak musimy wierzyć.

I wierzymy — ale gdzieś tam w głębi zbolałego serca kryje się trwożne pytanie: Jeżeli Bóg wie i widzi, co się dziś dzieje na ziemi, dlaczego na to pozwala? Wszak i my nędzni ludzie, kiedy widzimy niedolę bliźniego, litujemy się nad nim; — ale po co tak wysoko sięgać?! niech koń na ulicy padnie, niech nas doleci jęk cierpiącego zwierzątka, wnet serce nasze wzrusza się uczuciem litości. Więc jak możemy, dźwigamy, tulimy ten ból cudzy i jak najprędzej zapobiedz mu chcemy. A Bóg?... słyszy te jęki, patrzy już nie na walkę, ale na mord okrutny, widzi to straszne spustoszenie i jakby zupełne roztrącenie ludzkiego szczęścia na ziemi; świat nawet zwierzęcy widzi zamieszany w tę wojenną grozę, widzi ten cały ocean boleści, cierpień i mąk okrutnych, jaki zalał świat cały. Widzi — i milczy — widzi — i pozwala! — On — ten Ojciec nasz w niebie, On miłość i mądrość sama. Co tu powiedzieć, jak zaspokoić to pytanie, które z milionów serc wyrywa się ku niebu?

Słuchajmy! Bóg na nas dopuścił wojnę; a co Bóg czyni, dobrze czyni. Jak On zarządzi, my przyjąć mamy. Ugiąć się nam i korzyć przed Jego mądrością i dobrocią! I znowu zapytaćby można: Jakto! i to cała odpowiedź? W gruncie rzeczy tak — może nie cała, ale ostateczna i najlepsza.

Weźmy to porównanie: Gdzieś tam w dalekiej krainie zbudowano olbrzymi kanał; dwa prądy wody miały się w nim połączyć. Roboty ziemne już ukończono, ale lata jeszcze upłyną, zanim oddadzą ten kanał ku pożytkowi ludzi. I cóż się tam dzieje tymczasem? Oto na stokach skopanej ziemi, strzeliła jedna trawka i druga, aż ściany kanału pokryły się kwieciem i bujną roślinnością: w gęstej trawie uwijają się smukłe jaszczurki, nieprzeliczone zwierzątka, na krzakach i krzewach ptaszki usłały swe gniazdka i zdawałoby się, że nietylko postać, ale przeznaczenie tych olbrzymich robót zupełnie się zmieniło. Ale nadszedł czas kanału: spuszczono śluzy i z hukiem i szumem wpadły tam wodne fale, porywając i niszcząc wszystko co tam kwitło i żyło. Gdyby te kwiatki i te stworzeńka biedne miały głos i duszę, jakiż jęk straszny i jaką skargę zaniosłyby do nieba... A tam, na górze, niezliczony tłum ludzi ciśnie się do kanału i wznosi okrzyki radości, że dzieło ukończone.

Czyż to nie było okrutnie, poświęcić miliony istnień i bujny kwitnący stok ziemi zamienić w ruinę? Doprawdy, nie! — tak być musiało. Co Bóg czyni, dobrze czyni. Tak się ma i z wojną — i w tej strasznej wojnie Bóg przeprowadza zamiary i myśli swoje. Ale tu kończy się porównanie! Ludzie spuścili wodę do kanału nie dla dobra tych trawek, kwiatków i ptaszków!... Bóg dopuścił tę morderczą wojnę dla dobra ludzkości — i wojnę i nędzę i całą tę niedolę, która z nią w parze idzie, że za Jeremiaszem powtórzyć nam trzeba: „Bo ja wiem myśli, które ja myślę o was, myśli pokoju, a nie udręczenia“ (Jer. 29. 11).

Tak! co Bóg czyni dobrze czyni. Gdyby ta wojna uratowała miliony dusz ku żywo-

towi wiecznemu, które inaczej na zatracenie iść miały, czyż w takim razie nie byłaby dobrem? Gdyby płytki i lekki umysł setek tysięcy ludzi, tylko o rozkosze tego świata dbających, pogłębił się i życie wziął poważnie, gdyby postęp zwrócił się na właściwą drogę, czyż mimo morza krwi i łez, mimo cierpień bez miary, wojna ta nie byłaby czemś dobrem? Zamiast tedy pytać i badać, jak może Bóg pozwalać na tak straszną wojnę, uderzmy się w piersi i zapytajmy siebie: czyśmy grzechami naszemi nie zasłużyli sobie na to karanie. Gdyby ze śmiercią wszystko się kończyło, mielibyśmy zupełne prawo domagać się od Boga, aby nam życie płynęło bez bolu i troski, ale kiedy celem naszym Bóg i niebo, kiedy krzyż i cierpienie najkrótszą drogą do niego, ta wojna niszcząca nasze ziemskie szczęście nie jestże czemś dobrem?

Nie znaczy to, że nie jest straszną i okropną, że w całej historyi świata nie znajdziesz takiego nawiedzenia Pańskiego. Bóg niem gotuje i przeprowadza zbawienie całej ludzkości. Choremu, który bez narkozy ponosi operacyę, trudno wmawiać, że to nie boli — boli — ale od operacyi tej zawisło życie chorego. Uratować zaś życie to rzecz piękna i dobra. To właśnie czyni wojna.

Wierzmy więc i ufajmy, że w tej niedoli wojennej, Bóg dobro nasze zamierza. Zmiłowanie Jego bliżej, aniżeli sądzimy. W wieczności dopiero zrozumiemy, co dzisiaj dla nas tajemnicą. Zrozumiemy i to, że ta wojna z całym orszakiem nieszczęść, łez i boleści jest nawiedzeniem Miłosierdzia Bożego.

Bezbożni znowu przy robocie.

„Wolna“ szkoła.

Wojna nauczyła nas wielu rzeczy i rozświeciła wiele prawd. I tak, niedowiarstwo dobre dla ludzi o żelaznem zdrowiu i pełnej kieszeni, na wojnie zupełnie zbankrutowało. Oto cóż trzyma naszych mężnych żołnierzy? co ich popycha do poświęceń bez granic, co im dodaje męstwa i otuchy, co ich pociesza w chwili śmierci? Zaprawdę nie przekonanie niedowiarka, że wszystko kończy się ze śmiercią. Ich krzepi i cieszy jedno „Ojcze nasz“, jedno choćby westchnienie: „O mój Jezu miłosierny!“...

Niedowiarstwo jednak już zawczasu gotuje się do zmartwychwstania po wojnie. I ni mniej ni więcej, tylko szkołę zdobyć zamierza, ażeby sobie powetować, że z rowów strzeleckich zostało daleko wygnane. Szkoła, od początków aż do 15 roku życia, to jest do lat, kiedy dziecko na wyższe kursa idzie, musi być wolnomyśną, czyli inaczej mówiąc bezreligijną. Taki rozkaz wyszedł z generalnego sztabu komendy wojskowej w wojnie, którą niedowiarstwo zamyśla wydać wierze i Kościołowi św. Łatwo pojąć dokąd ta wojna z klerykalizmem dąży. Wypowiedzieli to jasno masoni, na których spada cała odpowiedzialność tej straszliwej wojny. Każdy łatwo dostrzeże, że przez powiedzenie wojna z „klerykalizmem“, należy właściwie rozumieć wojnę z Kościołem katolickim.

W masońskiem tajnem pisemku: „Cyrkiel“ (Nr. 32, 1916, str. 500) stoi wyraźnie: „Szkoła i zawsze szkoła! Naszemi wówczas będą dzieci i naszą będzie przyszłość, więc mniejsza o wszystko inne. Cała nasza praca tak duchowna jak materyalna musi się skoncentrować w szkole. Jeżeli poprawimy tuzin upadłych dziewcząt, lub wyślemy tuzin dzieci do przytułków i letnich kolonii, społeczeństwo na tem ani straci ani zyska, ale kiedy wszyscy masoni, nietylko oficyalni, ale i ci którzy po masońsku myślą i czują złączą się w silną organizacyę przeciwko „klerykalizmowi, zasiew nasz wyda owoc stokrotny. Naszem hasłem, to walka z religią w szkole; religia nie ma tam co robić, to rzecz prywatna i sentymentu. Z moralnością nie ma nic do czynienia. Miejmy odwagę otwarcie to wyznać i o to walczyć bez trwogi przed motłochem!

Doprawdy, można powinszować szczerości... Podejmujemy rzuconą nam rękawicę, ażeby pokazać czem jest dla dzieci program szkolny bez religii.

Dla nas wierzących słowa Chrystusa Pana są prawem, a oto słowa jego o dzieciach: „Ktoby zgorszył jednego z tych małych, którzy we mnie wierzą, lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński u szyi jego i zatopiono go. Biada światu dla zgorszenia. Takci nie jest wola przed Ojcem waszym, który jest w niebiosach, aby zginął jeden z tych małych“ (M. 18. 6. 7. 14.) Oto prawo Chrystusowe, broniące duszy dziecięcej, krótkie, ale jakże wstrząsające! Ale Chrystus Pan dalej jeszcze idzie; stawia nam bowiem przed oczy prawo Boga do dziecka, prawo dziecka do Boga: „Niezabraniajcie dziatkom przychodzić do mnie, albowiem takich jest królestwo niebieskie“. To prawo nie było znane starożytnemu światu, a niedowiarkowie i dzisiaj jeszcze go nie uznają. Dziecko będąc własnością Boga, ma tem samem prawo domagać się, aby do Boga je prowadzono i nikt związku tego rozerwać nie zdoła.

Dziecko jest własnością Boga, bo On jeden obdarzył je życiem; rodzice byli tylko narzędziem w ręku Boga, który w dobroci swojej pozwolił im mieć udział w dziele stworzenia. Gdyby rodzice byli jedynymi twórcami dziecka, jużby znali dokładnie jeszcze przed urodzeniem, jego wielkość, płeć i uzdolnienie, równie jak rzeźbiarz lub malarz, który już naprzód nadał swojemu dziełu odpowiednią miarę i kształty. Gdyby tak było powinniby rodzice dać swemu dziecku zdrowie, bo malarz i rzeźbiarz każdą szczerbę lub plamę zawsze naprawić potrafi. Tego jednak rodzice nie mogą! Wieleż to małżeństw wiekowych i słabych wzdycha daremnie za opieką zdrowych i silnych dzieci! Gdyby tak było, wszystkie dzieci byłyby zdolne, miłe i zdrowe, widzimy jednak, że muszą przyjmować takie, jakie im Bóg zeszle. Przez chrzest św. dziecko jeszcze bardziej do Boga należy; staje się członkiem Kościoła, uczestnikiem łask Bożych i współdziedzicem nieba. Niedowiarek może temu zaprzeczyć, ale zadać kłamstwa temu nie może. Chrzest św. daje dziecku takie samo prawo do Wiary św., jakie mu daje społeczeństwo do obrony jego życia i zdrowia. Jeżeli zaś ma to prawo, musi poznać Wiarę św., musi nauczyć się modlić i w odpowiednim wieku przystąpić do Sakramentów św. Tego prawa zaprzeczyć, to zburzyć z gruntu chrześcijańskie społeczeństwo.

Pan Jezus chciał jakby się zastrzedz przed zgwałceniem tego prawa, kiedy mówił do Apostołów: „Ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje“ (Mat. 9. 36.) .Temi słowy położył jakby fundamenty tego, co dzisiaj „Ochroną dziecka“ nazywamy, bo na tym fundamencie powstały żłóbki, schroniska, przytułki i kolonie letnie. Przedewszystkiem jednak na słowach tych spoczęła chrześcijańska szkoła. Jest ona tem miłosierdziem, o którem Zbawiciel powiada, że je nagrodzi, jakby Jemu samemu uczynione. Jest to jądro i treść powołania nauczyciela, jest to za-

płata, której spodziewać się może, choćby świat pracy jego nie uznał.

Dziecko niezepsute nosi na sobie i w sobie niezatarte piętno Wiary. Ręka w tem Boga, który „oświeca każdego na ten świat przychodzącego“. Spróbujmy tylko zająć je opowiadaniem na tle geografii, polityki lub wojny. Raz, drugi, posłucha, a potem znudzony odejdzie. Ale opowiadajmy temu dziecku, jak Bóg stał się dzieciną jak go święta jego Mateczka położyła w żłobie, jak dorósłszy kochał dzieci, ubogie i chore, jak był prześladowany i na krzyżu przybity, a przekonamy się, że dziecko z oczkami błyszczącemi na ustach naszych zawiśnie i łzę ukradkiem otrze i znowu prosić będzie: „Mamo, Ojcze opowiadaj co dalej“.

Jak igła magnesowa, tak dusza dziecięcia zwraca się zawsze ku Bogu i na wzór orła leci wprost do słońca, wysoko unosząc się nad ziemią.

Kto tłumi tę tęsknotę w duszy dziecięcej za Bogiem, ten ją gwałci okropnie; kto sercu dziecinnemu chce wytłumaczyć, że niepotrzebna mu Wiara, niepotrzebne zbawienie, kto mu odbiera Jezusa, krzyż i modlitwę, ten dopuszcza się na niem strasznej zbrodni.

Ojciec św. do dzieci.

Niedawno, bo z końcem miesiąca lipca przeżywaliśmy drugą rocznicę wybuchu strasznej wojny Europejskiej. Różne rządy i różne państwa rozmaicie obchodziły tę rocznicę.

Ciekawiście, jak nam katolikom polecił Ojciec św. obchodzić tę rocznicę? — Oto już wiadomo zapewne wszystkim naszym Czytelnikom, że Ojciec św. zwrócił się za pośrednictwem biskupów do wszystkich dzieci katolickich w całej Europie, ażeby w niedzielę, dnia 30. lipca przystąpiły uroczyście do generalnej Komunii św., i ażeby błagały gorąco Boga o przywrócenie pokoju.

Życzenia Ojca św. spełniły się w zupełności. Niedawno byliśmy świadkami wzruszającej uroczystości. Tłumy dzieci we wszystkich kościołach przystąpiły do Stołu Pańskiego i modliły się przytem o pokój. Z pewnością modlitwy dziatek miłe były Panu Jezusowi „przyjacielowi dziatek“.

W naszym kraju w Krakowie, po miastach i wioskach pięknie wypadła ta uroczystość. Taksamo w Rzymie przystąpiły dzieci w kościołach rzymskich do Komunii św.

Ojciec św. przyjmował w dniu 30 lipca 4000 dzieci ze wszystkich parafij Rzymu, które przystępowały do Komunii św. w celu uproszenia pokoju. Po przemowie kardynała Pompeliego Ojciec św., siędzący na tronie w książęcej sali, dziękował mu za przyprowadzenie dzieci, poczem mówił: „Często zadawaliśmy sobie pytanie, czy życie, które społeczeństwo ludzkie prowadzi zdala od pola bitew, ale zawsze dość blizko od okropności wojny, odpowiada wymaganiom chrześcijańskiego żywota uwarunkowanym przez obecne położenie. Niestety musieliśmy sobie odpowiedzieć, że rozpacz, która wedle słów Pisma św. „ziemię niszczy“, nie maluje się na obliczach, przeciwnie nawet, mimo nawoływań do powagi i pokuty, nie mogą się dorośli oderwać od światowego życia. Ponieważ z tego powodu obawialiśmy się o los rodu ludzkiego, ale nie wątpiliśmy w miłosierdzie Tego, który ludy uzdrawia, nasuwała się myśl i życzenie, czy podobałoby się miłosierdziu i dobroci Niebieskiego Ojca wysłuchać prędzej niewinności dziatek, aniżeli dorosłych; z tego powodu zwróciliśmy się do was, dzieci, ponieważ za to, że jednoczycie w sobie miłość rodziców waszych, a tem samem cierpienia osładzacie i przyszłość upewniacie, kocha was również Ojciec wiernych, którego osładzacie gorycze, w którym budujecie nadzieję“.

W dalszym ciągu przemówienia wskazał Papież na przyczynę wystosowanego do dzieci wezwania, podnosząc, że od dwóch lat ludzie mordując się walczą ze sobą: „Większa część z was nie rozumie tego straszliwego położenia. My jednak, jako Ojciec wiernych, w którego sercu odbijają się wszystkie jęki i bole naszych synów, ciężko cierpimy od dwóch lat a błagamy daremnie. Prośby Nasze do ludów, by broń złożyły, Nasze wezwanie, by poszły drogą rozsądku, i położyły koniec mordom, były próżne. Z tego powodu zdecydowaliśmy się, tak jak tonący, który słomki się chwyta, wyprosić pomoc Bożą przez wszechmocny środek waszej niewinności. Podajcie więc kochane dzieci rękę Namiestnikowi Bożemu, wzmocnijcie niezachwianą Jego nadzieję przez wasze modlitwy. Wiedzcie, że pragniemy i życzymy sobie, by społeczeństwo ludzkie poniechało nienawiści i spustoszeń, i stawszy się podobnem do Kaina, nawróciło się na podobieństwo Abla do dzieła pokoju, pracy i przebaczenia. W jaki sposób? Powstrzymujemy się od robienia propozycyj z obawy, by wszystkim naszym równo ukochanym synom plany nasze nie równo korzystne się wydawały. Zadowoleni tem, że życzenia nasze na nowo podnosimy, przeprowadzenie ich pozostawiamy Wszechmocnemu, w którego Imię sprawiedliwości, miłosierdzia i przebaczenia błagamy. Stojąc ponad wszelkie plany ludzkie, przeprowadzi swą wolę, aby spuścić najwyższe dobro na ludzkość Opatrznością swoją“.

WYDAWCA: KS. KAROL NIKIEL. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA.

Drukarnia »Głosu Narodu« w Krakowie.